

BLUSZCZ

PRENUMERATA W WARSZAWIE:
Miesięcznie kop. 60, kwartalnie rub. 1 kop. 80, półrocznie rub. 3 kop. 60, rocznie rub. 7 kop. 20.
Prenumerata na prowincji i w Cesarstwie:
rocznie rub. 10, kwartalnie rub. 2 kop. 50.
CENA OGŁOSZEŃ: za wiersz 1-o szpaltowy nonparem lub jego miejsce „za tekstem” kop. 30; ogłoszenie zwykłe kop. 20, „Nadesłane” kop. 75, margines rb. 6. Kolumna rb. 150. Załączniki rb. 6 za tydzień.
CENA NUMERU POJEDYŃCZEGO KOP. 20.

**PISMO TYGODNIOWE ILUSTROWANE
POŚWIĘCONE SPRAWOM KOBIECYM.**

Pod redakcją ZOFII SEIDLERÓWEJ.

Ekspedycja główna: Nowy-Swiat 41.

Drobnych rękopisów nie zwraca się.—Tel. Red. 105-22 Tel. Adm. 220-86.

Cesarstwo Austriackie: We Lwowie w głównej ekspedycji „Bluszczu” Pasaż Hausmana 9, kwartalnie kor. 5, na prowincji z przes. poczt. kor. 6.60.
W Krakowie: u D. E. Friedleina: kwartalnie kor. 5, na prowincji z przesyłką pocztową kor. 6.60.
W W. Ks. Poznańskim dla abonentów „Dziennika Poznańskiego”: w Poznaniu kwartalnie 3.60 marek, z przesyłką pocztową 4.30 mk.

Alleluja! Czytelniczkom i Czytelnikom „Bluszczu” starodawnym zwyczajem ślemy świąteczne życzenia. Alleluja!

REDAKCJA.

Kazimierzowi Tetmajerowi — w hołdzie.

Jeżeli ojczysta nasza literatura nie tylko ma się czem chlubić wobec obcych, ale zdumiewa inne narody swoim bogactwem niepospolitem, — zawdzięczamy to przede wszystkim poezji. Mielśmy wielką, niebosiężną poezję romantyczną, która w osobach trzech geniuszów okresu po-listopadowego wzbila się na szczyty twórczości wszechludzkiej i w locie swoim nie tylko dorównała, ale przewyższyła najśmielsze wzloty wszystkich ówczesnych poetów świata — mamy obecnie lirykę, która idzie przodem całej twórczości końca XIX i początków XX wieku i tym, którzy wykreślili nas dawno z szeregu narodów żywych i twórczych, mówi o niezgaszonym blasku imienia polskiego.

Do najjaśniejszych imion na firmamencie naszej poezji współczesnej należy imię — dostojnego w tej chwili jubilata — Kazimierza Przerwy-Tetmajera.

Dwadzieścia pięć lat jego pracy twórczej: to św. etny, drogocenny kawał purpury królewskiej, wzorzyście i miśternie przetkany złotym haftem słowa i naszyty dyamentami wielkiego artyzmu. Miejsce, jakie zajmuje Tetmajer w naszej



KAZIMIERZ PRZERWA-TETMAJER.

literaturze, jest już dzisiaj miejscem najprzedniejszym. Do przyszłości jednak należy dopiero będzie ściśle jego określenie.

Dzisiaj, kiedy w hołdzie jubileuszowym pochylamy się przed znakomitym poetą, niech nam wolno będzie w krótkich tylko słowach wyliczyć tytuły jego zasług i tytuły naszej wdzięczności dla niego.

Urodzony w r. 1865, w Ludźmierzu, w pow. Nowotarskim, na Podhalu, z ojca Adolfa i matki Julii z Grabowskich, miał Tetmajer w domu rodzinnym atmosferę wielkich wspomnień i wielkich ideałów. Ojciec jego był żołnierzem w r. 1831, służył, jako ułan w legii Nadwiślańskiej i ranny pod Iganiami opuścił szeregi. Brał potem udział w ruchawce Zaliwskiego i w organizacji powstania styczniowego, co spowodowało na dom jego prześladowania władz austriackich. Matka, warszawianka z rodu, była uczennicą i przyjaciółką jednej z największych kobiet w Polsce — Narcyzy Żmichowskiej (Gabryeli), niezapomnianej poetki-entuzystki, wykształconej w bliskim kółku Edwarda Dembowskiego. W ten sposób, nad kołyską poety podały sobie dłoń: boha-

terska tradycja narodowa i nowoczesne dążenia demokratyczne, które pomiędzy dworem w Ludźmierzu a chatą górala podhalańskiego wytworzyły niezamąconą harmonię.

W pięknej dolinie Nowotarskiej, z oczyma otwartymi na łańcuch niebotycznych Tatr, chował się przyszły twórca „Skalnego Podhala”, biorąc w duszę niezrównany w swej kraśności krajobraz polski, a w serce — miłość dla ludu, który stał się mu potem, w latach dojrzalszych, źródłem najgłębszych jego ukończeń artystycznych.

Oddany przez rodziców do szkół, do Krakowa, tam ukończył gimnazjum i wydział filozoficzny na uniwersytecie Jagiellońskim. Już jako student, zwrócił na siebie uwagę wybitnym talentem. Pierwszy jego utwór, drukowany w roku 1886 „Allegorya”, świadczy o silnym uczuciu patriotycznym, które pozostało też najgłębszym motywem całej jego twórczości.

Twórczość ta ogarnęła bardzo szeroki zakres. Szczytowi jej punktami pozostaną jednak zawsze: *liryka*, podniesiona w wierszach miłosnych do najwyższego kunsztu słowa i odsłaniająca nowe, nieznane jeszcze poezji polskiej, światy uniesień zmysłowych, i *epika*, która wskrzesiła przed nami cały ogromny, legendarny, bohaterski świat tatrzański.

Jako liryk, przechodził Tetmajer kilka okresów. Naprzód oczarowało go całkowicie piękno i pragnienie miłości, potem oszołomiła rozkosz, tętniąca bujnymi, namiętami porywami krwi. Z kolei przyszło znużenie, tak swoiste jego pokoleniu, i pogoń za melancholią. Harfa jego rozdzwoniła się smutkiem i zniechęceniem końca wieku i tych dwóch zasadniczych akordów naszego chorego życia nowoczesnego nikt lepiej od niego nie wyraził. Kiedy jednak przed poetą wytworzyła się pustka, kiedy po wyśpiewaniu hymnu do Nirwany, zdawało się, że niema już nic w życiu, o co mógłby oprzeć się mocniej, przemówiły do niego głosem potężnym i czarownym jego rodzime góry. „Jak zwierzę ranione” odwlokł tam swoją duszę i uleczył ją od rozpaczliwej samotności i głuszy, wśród dzikiej, pierwotnej przyrody i wśród dzikich, pierwotnych swoich przyjaciół-górali, z którymi przy rozpalonych watach „ugwarzał się” jedynie do syta, dla innych mając milczenie.

Tam dojrzał i skrytykował się ostatecznie jego wielki talent. To, co mu dały Tatry, należy do najwyższego rodzaju nie tylko jego poezji, ale poezji polskiej w ogóle.

I dzisiaj, kiedy poeta ma już swoją filozofię i swój ustalony pogląd na świat, swoją miłość dla wysokich szczytów i pogardę dla nizin, kiedy stoi po za młodzieńczeniem cierpieniem, bo przepłynął je od brzegu do brzegu, i kiedy w pieśniach jego dzwoni coraz częściej mądra, mężka rezygnacja, najpiękniejsze są zawsze tony, jakie rodzą się wówczas, gdy dusza jego, w rzeczywistości czy w marzeniu, obcuje z przyrodą górską i „Bogu patrzy w twarz” z wyniesionych ponad ziemię turni skalistych, opowiadających cudną baśń o wielkim oceanie Tetydy, którego fale rzeźbiły tu kiedyś swoje napisy.

Góry stały się dla Tetmajera wszystkim. One też dają dzisiaj jedyny klucz do jego

duszy. Kto ich nie zna, komu nie zasmakowała nigdy limba, nie zapachniała kosodrzewina, nie rozteńczyły się przed oczyma „buczki”, komu wiatr halny nie wyśpiewał pieśni przedstworzonej, a widok ze szczytu nie otworzył oczu na wielką tajemnicę Nieba i Ziemi—ten nie zrozumie i nie ogarnie poety nigdy.

Nie zrozumie zaś i nie ogarnie przede wszystkim największego jego dzieła: „Skalnego Podhala”, które dziś jest granicznym słupem tego, czego dokonał Tetmajer w sztuce polskiej.

Czy pójdzie dalej? Niewątpliwie. Pójdzie zaś nie dla tego, że jest jeszcze młody i tworzyć może długo, ale że w twórczości ostatnich jego lat jest zadatek na nowe i wielkie jego dzieła. Oto spróbujmy tylko odnaleźć zasadniczy motyw twórczy jego „Złotej legendy Tatr”. Narodziła się ona z tego, co jest najbardziej swoistym pierwiastkiem duszy Tetmajera — z jego wielkiej, nieukozonej tęsknoty do bohaterstwa. Uciekający od poziomu, płaskiego życia, poeta tworzył sobie w wyobraźni bohaterów na miarę niepowszednią i odlewał ich w spisu swojego słowa na wiecznotrwałą pamiątkę swoich tęsknot za tem, czego mu życie dać nie mogło. Bo „Skalne Podhale” nie jest odbiciem rzeczywistości — to całkowity twór wyobraźni. Bohaterowie tatrzańscy — to bohaterskie pierwiastki duszy Tetmajera, ucieleśnione przez niego mocą twórczego „stań się”.

Te bohaterstwa pierwiastki, którym jednocześnie na imię *polskość*, uczyniły też Tetmajera, artystę, oddanego tylko sztuce, najwrażliwszym ze wszystkich poetów współczesnych na każde drgnienie duszy narodowej, zrywającej się do lotu w stronę wschodzącego słońca. Dość przypomnieć na tem miejscu „Hasła”, „Poezję współczesną” i „Rewolucję”, która, mimo swoje usterki dramatyczne, jest i pozostanie zawsze wspaniałą pieśnią, wyśpiewaną na cześć wolności. Bo poeta, wnuk żołnierski i syn żołnierski, ukończył tę wolność nad wszystko i po długich wędrówkach po krainach mądrości ustalił dla siebie przede wszystkim dwie wielkie prawdy wewnętrzne: pierwszą,

„że każdy wraz się tutaj rodzi człowiekiem i Polakiem,

i że to dwie są święte rzeczy o sile apostołskiej:

piękny i dobry duch człowieczy w gorącej piersi polskiej!”

i drugą: że

„wszystko jest marność —
wszystko—tylko nie ducha i nie krwi
ofiarności!”

I ta jest droga, po której idzie—i pójdzie dalej.

Nie możemy tu wchodzić w głębszą analizę duszy poety i twórczość jego poddawać drobiazgowej ocenie. To, co powiedzieliśmy, wystarcza jednak w zupełności, aby zrozumieć, ile wdzięczności należy się od nas poecie za jego cudną, wysoką pieśń, która nas wzbija ponad życie i z orlich wyżyn uczy patrzeć na świat, oraz, jak gorące po-

winny być nasze życzenia, złożone jubilatowi w chwili jego srebrnych godów z poezją polską.

Życzenia te składa Kazimierzowi Tetmajerowi sercem i duszą

Redakcja „Bluszczy”.

□□□□□□□□

Zawisza Czarny.

Pan na Garbowie, herbu Sulima, co piękne imię Zawiszy nosił, był jedną z tych najpiękniejszych postaci ludzkich i polskich, do których biegła myśl Słowackiego i Tetmajera, a nie jeden jeszcze poeta wróci doń po natchnienie, bo był ten rycerz historyczny—prawie tak piękny jak legenda.

Dziś mało który rodzic odważyłby się synowi swemu to iście polskie imię nadać, bo—gdzież pewność, że nie byłoby to—profanacją.

Imię Zawiszy nietylko w poezji naszej żyje. Powtarzamy je omal nie co dnia. Mówimy: liczę na ciebie—jak na Zawiszę.

Piękny to pomnik dla rycerza—wejść w szlachetne przysłowie i nikt też tak jak on—prawa do tego nie miał.

Zawisza był rycerzem bez skazy. Wszystkie wieki i wszystkie epoki tworzyły sobie zawsze taki ideał mężczyzny, męża, rycerza.

Grecy nazywali to—heros, bohater. Twórczość ludowa grecka, której wyrazem są eposy homerowe dały pierwsze typy tego gatunku nadludzi. Potem przyszły postaci już ścisłe historyczne. Pięknym człowiekiem był Perikles, potem Demostenes.

Rzymianie—wyrazem *virtus* oznaczali tę harmonię męstwa, cnoty, nieskazitelności charakteru, honoru, tę prawie nieziszczalną skarbnicę potęgi duchowej, która jest ideałem—męża.

Wojny krzyżowe—znów dały nową formę tej samej treści—formę rycerza. Była to epoka poświęceń najidealniejszych, pozbawionych wszelkich motywów materialnych, epoka wojen natchnionych, o grób Chrystusa, wojen, które prowadziły nawet—dzieci.

I na tem może skończyła się—hodowla rycerzy.

Bo odkrycie Ameryki, jako słup graniczny, od którego zaczęły się czasy noworzytne, rzuciło cień na kilka wieków: ludzkość kultury europejskiej weszła w nową fazę: bogacenia się. Jak długo jeszcze to potrwa—któż przewidzieć zdoła. Nie tracimy nadziei, że ten ciemny tunel przez który dziś wypadamy na wędrówkę przez życie, nam i naszym pokoleniom, ma swój drugi wylot, że jest on przed nami, i że ujrzymy przecież znów kiedyś—światło. Dziś pozostaje nam pieścić wspomnienia przeszłości i żywić wiarę.

Współczesność—ma swego—dżentelmena i to jej wystarcza. Dżentelmen jest pełen kurtuazji dla kobiet, gra w karty bez zarzutu, jest wypłacalny, do opery przychodzi we fraku, przyjmuje pojedynki i to nam wystarcza.

Smutne czasy!

Dlatego człowiek szary, w brząk złota
wsluchany, w „kobiety bez skazy” wpatrzony,
przygląda się Tetmajerowskiemu „ryce-
rzeniowi bez skazy” jak jakiejś istocie kopalnia-
nej. Widzi — jak Zawisza, wracając do kraju
z jeńcem, z więzów go zwalnia, bo w Polsce
każdy musi być wolny; widzi — jak ten ry-
cerz, który w najpiękniejszych zamkach Euro-
py na złocie jadał, serca królowien podbijał,
na puchach łabędzich sypiał, — tu w Polsce z
chłopcami tańczy, na sianie nocuje i śni pod
czarem łanów pszenicy i bławatków; widzi — jak
piękny ten młodzian bez chwili wahania od-
trąca śliczną, namiętą ofiarę dobrowola-
cia wojewodzianki Dwiny dlatego tylko, że
innej już ślubował; widzi — jak człowiek ten,
który na turniejach mieczem i toporem kładł
pokotem dziesiątki w stal zakutych panów —
ma tak miękkie serce, że znieść widoku nie
może jeńca w kajdany skutego, jeńca, który
doń nie należy; widzi i słyszy — jak Zawisza
dla ojczyzny interesów i honoru swego po-
święca miłość i radość swego serca, poświęca
szczęście swoje i swojej najukochańszej Ewy;
widzi i słyszy to wszystko, co jest treścią
przepięknego poematu Tetmajera i zrozumieć
nie może w ubogiej swej duszy człowiek szary,
że to właśnie jest życie prawdziwe, że to ma
nerw i drżenie walki i dramatu, że to jest
czynem i poezją, że to, a nie co inne sta-
nowić winno mszę w tej świątyni sztuki, co
się zowie wielkim teatrem.

Osią fantastycznego utworu Tetmajera
jest cierpienie Zawiszy, który szczęście swoje
osobiste, życie narzeczonej, co się w nurty
Wisły rzuca, ojca ukochanej, którego zabija
jako zdrajcę ojczyzny, życie Dwiny rozko-
chanej w nim na przepaść — tyle niedoli
ludzkiej poświęca dla ojczyzny i honoru!

Jak przy tem ogromie ofiarności i bólu
wygląda „dramat” jakiegoś kabotyna z miesz-
czańskiej „tragedyi”, któremu żona z kochan-
kiem uciekła!

Risu teneatis, amici!

Tetmajer nie oddaje złotego pióra swego
teatrowi. Oprócz „Zawiszy” dwa tylko dro-
bniejsze utwory — „Sfinks” i „Widmo-Okręt”
do teatru przeznaczał. I dlatego koncepcja
Zawiszy posiada niedostosowania do wymagań
sceny, wymagań technicznych, materialnych
prawie, zewnętrznych.

Un défaut, mais pas un vice.

Geneza duszy Zawiszowej sięga tajem-
nic wczesnego renesansu.

Polski ten europejczyk i europejski polak
należy bezsprzecznie do wielkiej rodziny ol-
brzymów — odrodzeniowców. Jest w nim coś
z potęgi Mojżesza Buonarottiego, coś z za-
myślenia Eliasza tegoż mistrza, jest on jakby
prekursorem naszego złotego wieku, wieku
Kochanowskich i panów Zamoyskich.

Ale za to niema w nim nic z Don Kicho-
ta. Rycerz hiszpański walczy dla walki,
z istoty swej, w imię szlachetnego pierwiastku
ludzkiego — honoru, jako absolutu. Walczy
z wiatrakami, bez celu. Zawisza walczy celo-
wo w imieniu tegoż honoru, bezinteresownie,
ale dla życia. A przytem bohaterstwo jego
ma poważne przyczyny:

Jam jest rycerz z cierpienia!
Choćbym padł, orle skrzydła

Będą trupowi ciężcy,
Aż się podźwignie!
Muszę zwyciężyć!

Zawisza więc jest rycerzem czynu i
wiary.

Czynu przedewszystkiem.

I tem różni się także od legendowych,
śpiących rycerzy, którzy na czyn czekają.
Zawisza nie czeka nigdy. On szuka czynu
i dlatego może o sobie powiedzieć:

Orle skrzydła u ramion mi rosną,
Szumią, szumią — jak morze.

Duch mój wiecznie płynąć będzie.

Jam jest rycerz z cierpienia.

Taką jest dusza Zawiszy w szkicu dra-
matycznym Tetmajera.

Lecz temat jest niewyczerpany. Gdybyż
poeta chciał doń powrócić!

„Zawiszę Czarnego” wystawiono w War-
szawie z powodu 25-letniego jubileuszu pracy
Tetmajera. Przedstawienie w Teatrze Wiel-
kim było świąteczne i podniosłe. Publiczność
po każdym akcie najserdeczniej — jak umia-
ła — okazywała poecie wdzięczność, nie tylko
za „Zawiszę”, ale i za całą ćwierćwiekową
godną służbę Tetmajera muzom i narodowi.

Po skończonym spektaklu — w sali ma-
linowej hotelu Bristol, zebrało się około 130
osób ze sfer literackich, artystycznych, nau-
kowych, a poniekąd i ze wszystkich inteli-
gentnych sfer społecznych, by zasiąść z ju-
bilatem do wspólnej biesiady.

Bankiet przeciągnął się długo w noc,
przy bardzo miłym nastroju, a kilkunastu
mówców uświetniło dzień przemówieniami na
cześć Tetmajera.

Prozą i wierszem wyrażono mu całe na-
sze pojmowanie przepięknej Jego twórczości.
Weyssenhoff, red. Olchowicz, red. Paszkow-
ski, Józef Kotarbiński, Józef Jankowski, pro-
fesor Weyberg, Frenkiel, mecenas Patek,
p. Natalia Jastrzębska i wielu innych złożyli
w słowie wieniec u stóp jubilata.

Tetmajer odpowiedział w słowa proste,
a przedziwnie kryształowe: rozbieraliście na
częstki całą moją twórczość, chwalać mnie.
Przyjmuję i dziękuję, ale auroelę tę zwrac-
cam temu, co było zasadniczym tonem mo-
jej lutni, a czego nazywać nie mam potrzeby.
Wszyscy to czujecie, bo polski pisarz tem
tylko żyje i w ten dzwon uderza. W imię
tego tonu wznoszę kielich za — przyszłość...
Warszawy”.

Była chwila podniosłego zespolenia u-
czuć.

Gustaw Olechowski.



Mowa, wypowiedziana przez p. N. Jastrzębską na bankiecie jubileu- szowym Kazimierza Przerwy-Te- tmajera.

Przypadło mi dziś w udziale złożyć hołd
jubilatowi od związku pracujących umysłowo
kobiet polskich.

Tak bowiem przez długi szereg lat kształ-
towały się warunki naszego życia, że nauczy-
liśmy się odróżniać pracę i umysłowość ko-
biecą od męskiej i różnica ta trwa do dziś
w swej sile. Pomimo hasel równouprawnienia,
kobiety uważają do dziś za swój obowiązek
występować jako kobiety, z okazji różnych
uroczystości,

A skoro tak już jest, to zastanowić się
musimy nad naszym wzajemnym stosunkiem,
nad formą, w jakiej odnosi się Tetmajer do
kobiety polskiej.

Już to wogóle poeci nie traktowali płci
naszej zbyt pochlebnie, a zwłaszcza zbyt po-
ważnie — pomimo przeciwnych pozorów.

W świetlistej, rzeźbionej, zawrotnej mo-
wie rymów, jest kobieta Sfinksem, cudem,
objawieniem, — przełożone na język zwykłych
śmiertelników, oznacza to wielokroć twór płyt-
ki, bezduszny i okrutny.

I tak było oddawna, od pierwszych mi-
nesaengerów do modernistów dzisiejszych. Opie-
wają poeci kolejno anielskość lub okrucieństwo
pięknych, od złotych aniołów średniowie-
cza do Chimer, uplastycznionych przez Mal-
czewskiego, demonów, wampirów doby osta-
tniej.

Nie odbiegł i Tetmajer w swym sto-
sunku do kobiety od tych prawzorów. I jego
Marye, Mery, Lory, księżniczki i księżne to
anioły dobre i niemądre, albo mądre i złe, lub
złe i niezbyt nawet mądre djaboliczki.

Jest jedna postać cud, postać objawienie,
postać rzucona jak sztandar pod stopy wiel-
kich walk — ale ta kobieta nie jest niestety,
kobietą polską.

A jednak, mimo to, mogą kobiety polskie
przyjść dziś do jubilata z wyrazami hołdu.

Bo Tetmajer wyznaje cześć dla kobiety,
bo przypisuje jej moc piorunową, boską moc,
twórczą, apostolską misję. On marzył o ta-
kiej kobiecie, taką widział oczyma duszy, taką
czcił — życie tylko pokazało mu inne wzory.
A z marzenia, z bezkresnego marzenia poety
o szczęściu, urodziły się niektóre jego świe-
tlane, z nad życia postacie. Matka Marka,
dziewczyny góralskie, Marysia daleka; rubino-
wa róża męczeństwa, krwawymi łzami płacząca
Hanusia; mistyczne zjawy z królestwa
trójcy: Ciszy, Światła i Przestrzeni — Eljana
z Arikarną — oto kobiety Tetmajerowskiej
duszy, istoty jego pragnień marzonych.

Za te postacie przychodzimy dziś tu
z dziękczynieniem. Przychodzimy do Niego
jak do naszego skarbu narodowego, jak do
lśniącego klejnotu naszej duchowej korony
i dziękujemy Mu. Bo każda matka jak co-
dziennego pacierza uczyć może dzieci swe
końcowych strof z wiersza „Do mojego synka”,
bo wszyscy jak przykazanie przeszłości po-
wtarzać możemy cudną, uderzeniami serca
kutą Zbroję Zawiszy.

I przychodzimy do Ciebie dziś z dziękczynieniem, dziękujemy Ci za zjawy przeszłości, wskrzeszone, płomienne, dziękujemy za wiesz-cze zawołanie jutra, za hymny nadziei — dziękujemy Ci, my, kobiety, które nazywamy się umysłowo-pracującymi, lecz pragniemy być w tej pracy jak przy ręcznym warsztacie — robotnicami polskimi. Przychodzimy wołając: Niech będzie sława Twej klejnotnej lutni — niech potrzykroć będzie sława Twej gorącej, cudnej polskiej duszy.

□□□□□□□□□□

Z niedrukowanych nigdzie
poety J. I. Kraszewskiego.

HYMN.

~~~~~

Z szatą rozdartą, w prochu i w żałobie,  
O Panie, ręce wyciągam ku Tobie —  
Spójrz na boleścią wynędzniałe ciało:  
Łez na płacz, tchu mi na jęki nie stało.  
Pragnienie w wnętrzu zapala pożogę —  
Umieram, Panie, a umrzeć nie mogę!  
Dzień każdy wiekiem, straszniejsze męczarnie,  
Gdy noc ciemnością cały świat ogarnie  
Naówczas próżno znużona powieka  
Snu błaga, kiedy sen od niej ucieka.  
I widma z grobów powstają przedemną:  
Blade, milczące, przez noc ciągną ciemną,  
Całego życia mego niosą dzieje:  
Urągowisko z ust ich na mnie wieje,  
Stają trupiemi paląc mnie oczyma,  
Znikną, wracają... odpoczynku nie ma.

Magdeburg 1884.

□□□□□□□□□□

## KOLEŻANKA STEFA.

~~~~~

Biały motyl z ponsowemi różami przy
rondach kapelusza, nie bacząc na konwenans,
wstał i rozejrzał się po sali.

Spojrzenia padły na pierwsze okno w
prawej ścianie.

Oparty o nie młody człowiek skłonił się
chłodno i stał dalej spokojnie.

— Laissez donc, Meta. Asseyez-vous.
Nie trzeba zwracać na siebie uwagi...

Pani dyrektorowa mówiła napozór obo-
jętnie, głos jej jednak drżał i ręka, podtrzy-
mująca sztyldkretową osadę binokli, osunęła
się na kolana w bezradnym omdleniu.

Meta siadła, zmarszczywszy brwi gniew-
nie i szarpnąwszy chwasty białego japońskie-
go paska z tasiemek.

Kilka obrazów wieczora, któryby wołała
wykreślić z pamięci na zawsze, jak rzucone
na ekran odbicia klisz poszczerbionych, prze-
sunęły się przez mózg jej, odurzony galopa-
dą wspomnień.

Szalała wczoraj. Szaleli wszyscy. On
tylko, Edward, był przytomny. Nie pił pra-

wie wcale, choć sama nalewała mu wina w
kieliszki i trącała się z nim ciągle.

Panowie zamawiali szampa butelkę po
butelce. Kręciło się w głowie nawet najse-
dziwszej z matron, p. Starskiej.

Ala, jak zawsze w podchmieleniu, zaczę-
ła rachować palce i nie mogła się doliczyć,
bo jeden ciągle gdzieś ginął, a reszta rosła,
rosła i sięgała prawie do ziemi.

— Podnieś je pan! — kazała młodemu
anglikowi, którego pierwszy raz do towarzy-
stwa wprowadzili Łąccy.

Anglik niby szukał, szukał, aż wreszcie
schwycił ją za nogę.

Podniósł się krzyk. Matka wyprowadzi-
ła Alę, a ona, Meta, wzięła Edwarda pod rę-
kę.

Pamięta dobrze: kręciło jej się w gło-
wie. W oczach, jak pajace, skakały płomie-
nie świeczników, desenie firanek, główki bu-
telek, kwadraty posadzki.

Miała ogromną chęć oprzeć czoło o ra-
mię Edwarda, ale się wstrzymała.

Chodzili po sali jadalnej, z której uprzą-
tano stoły.

W głębi ogrodu zapalono chińskie latar-
nie, które kiwały się na drzewach i najwy-
raźniej gadały z sobą: taki szum wprost od
nich nacierał na Metę, ogłuszał ją, przewalał
się w mózgu tępym, beładnym chaosem.

— Trochę powietrza!..

Wyszli z sali i boczną ścieżką skierowa-
li się ku głównej alei, gdzie kończono zawie-
szanie latarni.

— Co pan dziś taki zły?—Dlaczego się
pan nie bawi?.. Zapomniał pan, czego uczył
ciągle: że kaprysy trzeba chować ze starą
marynarką w szafie, a z butonierką przy fra-
ku nadziewać na siebie dobry humor, uprzej-
mość i grzeczność dla dam, szczególnie dla
panny Mety, swojej nauczycielki, którą pan
trochę lubi, prawda?..

Przechyliła głowę w tył.

Turban z loków opadł na czarne sukno
fraka. Nie mogła go dźwignąć.

— Doprowadź mnie pan do ławki: niedo-
brze mi...

Usiedli w najciemniejszym kącie ogrodu.

Chłód nocy orzeźwiał ją powoli. Nie od-
rywając głowy od ramienia Edwarda, mó-
wiła:

— Pan taki obojętny dzisiaj... zupełnie
jak nie ten... A przecież... zapowiadałam...
dziś... pierwsza noc majowa... trzeba sza-
leć...

Wyciągnęła usta, jak gdyby chciała do-
tknąć niemi miękkich, purpurowych warg, za-
wieszonych tuż, tuż nad nią, w smudze świa-
tła, przedzierającego się przez gęstwinę drzew.
Powiało od niej zmieszana wonia likierów,
czarnej kawy, szampa.

Edward otrząsnął się z niesmakiem i de-
likatnie, ostrożnie zsunawszy głowę jej z ra-
mienia swego, oparł ją o ścianę altany.

— Pani powinna przespać się trochę...

Krew uderzyła jej do mózgu. Orzeź-
wiała na chwilę, jakby pod nagłym cięciem
szpicruty.

— Chodźmy ztąd!

Podał jej ramię, które odrzuciła szorstko.
Wstała, ale — kroków swoich niepewna —

z głową, którą coś nieprzeparcie ciągnęło to
w tył, to naprzód, — oparła się na nim
znowu.

— Oprowadź mnie pan po ogrodzie, dopó-
ki nie przestanę się dusić... Gorąco tu wszę-
dzie...

Weszli w boczne, ciemniejsze, ale też
gdzie niegdzie girlandami lampjonów oświetlo-
ne aleje.

— Wiem już... Teraz doskonale zdaję so-
bie sprawę z tych dzisiejszych niehumorów.
Weszłam nie w porę, wołając pana do samo-
chodu. Całowaliście się z Stefą... I ona i pan
mieliście miny, jak przyłapani... O, przecież
nie powinnam była wątpić ani na chwilę, że
przez trzy lata ciągłej niby nauki razem; pa-
cierzy się nie mówiło... Ona, ten rabin... Ta-
kim świętościom najłatwiej ubrać się w płasz-
czyk braterstwa... Dobrze śmiejemy się z te-
go: ja z matką i Alą... Tylko ojciec jeden
wierzy, bo dla niego nic niema ponad Stefę...
Jutro pewnie będzie perorowała, jak kwakier
o tak zwanej „czystości uczuć”... a dziś...
przepowiadała sobie z kolegą...

Co ją podkusiło do tej nagłej napaści?—
Nie zdawała sobie sprawy ani nazajutrz, ani
w godzinę potem. Słowa z jakąś dziką pasją
cisnęły się jej na usta, zupełnie, jakby ktoś
rzucił je z zewnątrz, jakby podpełzały ku
niej z tym głuchym szumem, który walił ze-
wsząd: od strony drewnianego szałas, z głą-
bi parku, z paszczy wiosennej nocy, wreszcie
od tych płam, błyszczących w powietrzu, dzi-
wacznie rozdwojonych, potrojonych w oczach,
to znowu zlanych w jedno jakieś koło olbrzy-
mie, wirujące w skroniach, jak skrzydła wia-
traka.

— Tak, tak... już teraz wiem wszystko...
No, niech pan powie, ile razy pocałowaliście
się dziś, zanim ja weszłam?.. Dużo, natural-
nie, bo był nastrój... Powiedz pan... ja chce,
ja muszę to usłyszeć od pana... Ja pana nie
puszczę, jeżeli dziś, teraz zaraz nie dowiem
się całej prawdy...

Tupnęła nogą i stanęła przed festonem
lampjonów, który wydał jej się wężem ogni-
stym, wyciągającym ku niej żądła syczące.

Odpędzała go prawą ręką, lewą, jak klesz-
czami, wpila się w ramię Edwarda i, tupiąc
coraz gwałtowniej, powtarzała przez nos, z gar-
dła, przewlekłe:

— Powiedz pan, ja muszę wiedzieć...

Milczał. Powoli, ostrożnie wyprowadził ją
z ogrodu i bocznym wejściem dotarł do bur-
duaru, gdzie Gintowtowa trzeźwiła pija-
ną Alę.

— Panna Meta musi się przespać... zo-
stawiam ją tutaj...

Skłonił się, wyszedł. Co zrobił z sobą?
Nie wiedziano. Gdy po przetańczonej nocy
towarzystwo już białym rankiem wracało do
miasta, nie było go. Służba w szatni oznaj-
miła, że wkrótce po kolacji zabrał kapelusza,
palto, wybiegł z ogrodu i nie pokazał się
więcej.

Pieszko wołał iść do miasta, aniżeli zostać
z nimi.

Anglik też uciekł. Skandal! Żeby tylko
nie doszło do ojca!..

(D. c. n.)

C. Walewska.

Z prawdziwego zdarzenia.

„...Deus in adjutorium meum intende!...”

Po nierównym, ostrym bruku, przez za-
ulki zamieszkiwane przez nędzarzów, śpieszy
ksiądz, szepcząc urywane słowa modlitwy.

— ...In adjutorium... i gdzie to może być?...
meum... — noga księdza potrafiła o jakiś
łachman wstrętny, — intende!... na prawo,
czy na lewo?

Kapłan posuwa się dalej. Już i ostrych
kamieni nierównego bruku zabrakło, gdzie
stąpisz, grząskie, cuchnące błoto. Niekiedy
obdartus jaki przejdzie przez drogę, a pod-
niosłszy ku księdzu twarz wynędzniałą, lub
od pijaństwa obrzękłą, patrzy nań świecące-
mi chytrącościami oczyma,

Ksiądz usiłuje przypomnieć sobie:

— Siostra mówiła: na prawo... potem
wprost... znów na prawo... na lewo... parkan...
ostatni dom, na żółto malowany...

...In adjutorium meum intende...

Ksiądz idzie wzdłuż parkanu, kończąc
swoją wędrówkę.

W oknach niskiego domku naprzeciwko
ukazuje się głów kilka; ciekawe spojrzenia
gonią za kapłanem.

— Patrzaj, Magda, ksiądz! — woła ktoś
głośno.

— Gdzie?

— A dyć idzie...

— Do kogo?

— Musi, do Błażeja...

Ksiądz tymczasem wypytuje napotkaną
babkę, która mu się mniej odrażająco wy-
dała, o ostateczne wskazówki.

— Jak? Ogarek? nie znam... Błażej? a,
już wiem!... to ten z krzywą gębą... tedy,
proszę dobrodzieja, w tej sieni na lewo...
ostatnie drzwi, takie niziutkie, w samym
kącie...

— Dziękuję.

— O, niema za co...

*

*

Ksiądz puka do drzwi wskazanych przez
babkę, i nie czekając zezwolenia, otwiera je.
Wchodzi za próg, drzwi zamyka za sobą, atoli
w tejże chwili cofa się. Uderza go tak cięż-
ka, przesycona złymi wyziewami atmosfera,
że go o zawrót głowy przyprawia, więc po-
zostawia drzwi otwarte.

— Drzwi zamykać! drzwi zamykać! —
odzywa się gniewnie chrapliwy głos z kąta.
Na żelaznym, kulawym łóżku pod ścianą,
zasłanym łachmanami, otulony w brudne
szmaty, leży człowiek bardziej do szkieletu,
niż do żyjącego człowieka podobny.

Gdy kaszle, pierś jego wznosi się, wzdy-
ma niepomiernie, zda się pęknąć musi, po-
czem zapada z rżeniem straszliwym.

— Czy bardzo cierpicie? — pyta ksiądz
z współczuciem, zbliżając się do łóżka.

Suchotnik obrzuca kapłana niechętnym
spojrzeniem i próbuje unieść się na rękę.
I on jęczy i łóżko pod nim wtóruje mu
żałośnie, jakby i ono dość już miało wysił-
ków ciągłych.

Ksiądz przysuwa sobie jedyne, połamane
krzesło, siada jak najbliżej chorego, mimo-

wiednym ruchem unosi sutannę i poczyną
mówić.

O, dobry to był człowiek, ten ksiądz, a
taki jeszcze młody. Szybko przywyka do du-
szącej go atmosfery i mówi, mówi tak ła-
godnie, serdecznie...

Nędzarz zrazu zachnął się kilka razy,
odwrócił głowę do ściany i słuchać nie chciał,
potem słuchał obojętnie, wreszcie zwolna
twarz zwrócił ku mówiącemu i słuchał weń
zapatrzony. A ksiądz mówił nieprzerwanie,
z jednakiem zawsze współczuciem, z jednaka
łagodnością.

Skończył, zaległa cisza.

Chory przerwał ją pierwszy.

— Czy wiecie, co mnie trapi okrutnie...
okrutnie... oto, że ja tam odchodzę w takiej
nędzy... nie mam nawet koszuli na grzbiecie...
póki tu jestem, mniejsza o to, ale tak
odejść... — szarpnął kościstymi rękami pierś
wychudłą i z nowym wysiłkiem, nowym bun-
tem w gasnących oczach, rzucił jeszcze: —
Czy myślicie, że gdyby naprawdę Bóg był
nad nami, pozwoliliby mi tak zdychać... jak
psu? bez koszuli? i jakżeż mnie bez niej
pochowają?...

Znać myśl o koszuli była ostatnią,
upartą myślą, tkwiącą z chorobliwą zacięto-
ścią w mózgu umierającego.

— Czy tylko o to wam chodzi? — zapy-
tał ksiądz ze słodkim prawie uśmiechem.

— Jakto, tylko o to?... Dobrze to mó-
wić komuś, kto nie zapragnął niczego...

Ksiądz nie namyślał się ani sekundy.
W jednym mgnieniu oka zamknął drzwi na
zasówkę, stanął w głowach łóżka, tak, żeby
go chory dojrzeć nie mógł i po chwili... pod-
szedł do niego, podając mu własną swą ko-
szulę.

— Co to... dla mnie... koszula... dla
mnie? — wybelkotał suchotnik.

— Zaraz ją włożę... zaraz... nigdy jesz-
cze nie miałem takiej koszuli w ręku... —
mówił gorączkowo, jakby w obawie, żeby
mu tego skarbu nie odebrano.

Ksiądz, zapanowawszy nad mimowolną
odrazą, dopomógł nędzarzowi włożyć koszulę.
Dziecięca radość zajaśniała w oczach su-
chotnika.

— A widzisz, biedaku, — odezwał się
kapłan, z łagodną powagą — widzisz, że jest
Bóg nad nami... Trzeba się z nim pojednać,
przebłagać Go za winy wszelkie. I On był
biednym i kochał maluczkich i nędzarzów...
Ty cierpisz... masz nędzną izbę, ale zawsze
masz choć dach nad głową, On miał tylko
krzyż... No, no, odpowiedz mi, mój przyja-
cielu, jakże to tam było... może to i czter-
dzieści lat minęło od czasu, jakieście po raz
ostatni byli u spowiedzi?...

— Czterdzieści dziewięć... — wyszeptał
chory po namyśle.

— O, to będziemy mieli dużo do roboty...

*

*

*

W godzinę później, ksiądz powracał kro-
kiem lżejszym, aniżeli był przyszedł. Towa-
rzyszyły mu znowu ciekawe spojrzenia, szep-
ty, uwagi głośne, lecz on nie widział ich i nie
słyszał. Szedł w skupieniu ducha, szczęśliwy,

że jutro powróci tutaj i spełni obowiązek
swego powołania.

Słońce chyli się ku zachodowi, powietrze
wydaje się księdzu mniej duszne, mniej przy-
kre... Mija parkan, mija zapadły domek je-
den, drugi, gdy nagle, niewiadomo skąd, świ-
snęło coś w powietrzu i stłuczona butelka,
napelniona brudną wodą, obryzguje sutannę.

Ksiądz zatrzymuje się zdumiony, wyjmu-
je chustkę, ociera ubranie i rozgląda się, że-
by dociec, z kąd mógł pochodzić nieprzewi-
dziany pocisk. Wtem, pod ścianą narożnego
domku, spostrzega wyrostka, może trzynasto-
letniego, na wpół schowanego za drzwi odem-
knięte, i schylającego się właśnie po jakiś
przedmiot, leżący na ziemi, którym szykował
się widocznie cisnąć znowu w księdza.

Krew zakipiała w słudze Bożym. Obie-
ma rękami unosi sutannę i puszcza się w po-
goń za chłopakiem. Gniew, zwykły gniew
człowieka niesłusznie skrzywdzonego, unosi go
i dodaje mu chyżości. Już, już dogania wy-
rostka, który odrazu zrozumiałszy zamiar
księdza, umyka co ma siły.

Biegną wzdłuż parkanu, wyrostek dopa-
da wreszcie ostatniego domku, znika w sieni
i krzyczy przeraźliwie jakby go zarzynano:

— Ojczel tatusiu, ksiądz chce mnie bić!

Za chłopcem wbiega kapłan zdyszany,
czerwony, z kapeluszem w ręku, z pozlepia-
nymi włosami nad czołem. Przystąpił próg,
który opuścił przed chwilą.

— Co tam?... co się dzieje?..

Chory unosi się z wysiłkiem, a w oczach
jego widnieje śmiertelny przestach.

Ksiądz siada przy łóżku, ociera pot z
czoła i mówi łagodnie:

— E, to nic... to tylko wasz syn chciał
mi podziękować...

Oczy chłopca spotykają się ze wzrokiem
kapłana. Lecz w tym wzroku niema już
gniewu, a tylko wielka, bezmierna dobroć
i równie wielki smutek.

Chłopiec przez chwilę patrzył z podełba,
poczem posunął się niezgrabnie i z pokorą
pocałował kapłana w rękę.

Ten zaś głowę chłopca przytulił do piersi
i szepnął mu do ucha:

— Ja tu wrócę jutro...

Zofia Seidlerowa.

□□□□□□□□□□

Wyświetleniu gwoli.

~~~~~

Doszedł mnie tutaj, w kraju słonecznym,  
fantastycznym, mistycznym i — wielce brud-  
nym — egzemplarz „Bluszczu” z artykułem  
pani Przewóskiej: „W przyszłość”.

Na ten to artykuł czuję się w obowiązku —  
odpowiedzieć słów parę.

Dużo jest rzeczy cennych w tem, co pani  
Przewóska pod nagłówkiem przyszłości pisze.

„Ratować się... nawrotem myśli naszych  
do dróg własnych, rodzimych natchnień...”

„Odrzucić precz od siebie wszelką litera-  
turę znieprawiającą umysły i serca, kalającą  
wyobraźnię i skalającą duszę.”

„Gdybyśmy ujeli w zbożne dłonie dzieła  
naszych wielkich filozofów i wieszczów...”



„Czy nie będzie to w nas zaczynem odrodzenia, krokiem na drodze idących wielkich przemian...”

„Ci, którzy wiedzą już coś o tem, jak olbrzymią potęgą motoryczną jest myśl ludzka, rozumieją jak potężnej reformy dokonuje praca jej w kierunku ku lepszemu...” i t. d.

To wszystko można jeno poprzeć z największym uznaniem, ze spotęgowanym naciskiem, i z tą jedynie różnicą, że nie jako „cudownych widzeń miraż” przedstawiać się nam to winno, ale jako życiowa obecnej chwili konieczność. I przeto niech się to nam nie „majaczy” „obrazem precudnych barw”, ale mówmy sobie, że to uczynić bezwarunkowo potrzeba i że uczynimy.

Pani Przewóska zapewne dalej rozwinie— we wspomnianym artykule naszkicowaną — doniosłą i precenną myśl, aby w każdej polskiej rodzinie *przedsięwzięto codzienne obcowanie z Wielkimi... Z Dawcami życia... Z Mickiewiczem, Słowackim, Cieszkowskim i Krasińskim...* Zapewne—rozwiniciem i gorącym przypominaniem wytworzy w społeczeństwie ze słowa czyn... Należy się tego spodziewać i pragnąć i wołać o to...

Codzienne obcowanie z Wielkimi stałoby się doskonałym sposobem, metodą doskonałą do osiągnięcia *pierwszego* zbawczego stadium t. j. „*nawrotu myśli do własnych, rodzimych dróg*”. *Następnym, nieodzownym* krokiem byłoby i *musi być* dalszy rozwój onej myśli „na drogach rodzimych”. Albowiem nawet ze spuścizny tych niezaprzeczenie wielkich i pełnych nie moglibyśmy *naprawdę żyć* długi czas. Nie żyje się *przeżywaniem*. A więc *wesprzeć się o to, brać z tego i samodzielnie rozwijać*. Dalej i naprzód. Wyczerpywać, potęgować i tworzyć...

Kilka powyższych słów, to, rzecz prosta, tylko podkreślenie wielkiej wartości zdań, wyrażonych przez panią Przewóską, zaś nie odpowiedź na jej artykuł, ani tembardziej *wyświetlenie*.

Dopiero teraz kolej na to ostatnie przychodzi odnośnie do drugiej części artykułu.

Wspomina w niej p. Przewóska o działalności „Towarzystw teozoficznych z siedzibą główną w Adyarze pod Madrasem (Indye południowe) z gałęziami licznymi i w Europie”.

Właśnie przed bardzo niedawnym czasem miałam sposobność spędzenia w rzeczonym Adyarze ośmiu z górą miesięcy. To zetknięcie się bezpośrednio upoważnia mnie do kilku uwag prostujących. A umieszczam je tu ze względu, iż w społeczeństwie naszym zdaje się teraz pojawiać pewne zajęcie się ruchem „teozoficznym”. W podobnych wypadkach najlepiej, jeżeli można, nieporozumień un knąć odrazu.

Z artykułu p. Przewóskiej wnioskuję, że pojęcie jej o *obecnym* charakterze „Towarzystwa teozoficznego” niezupełnie odpowiada rzeczywistości.

Nawiasowo małe wstępne uwagi. Pani Przewóska wspomina o „towarzystwach” w liczbie mnogiej, nie wiem, dlaczego? Nominalnie bowiem istnieje tylko jedno towarzystwo, to właśnie z siedzibą główną w Adyarze; z samorządnymi sekcjami w wielu kra-

jach europejskich i w Stanach Zjednoczonych.

Pod względem ilościowym i co do uzyskanej popularności, Anglia, o ile się zdaje, prym trzyma. We Francji stadyum początkowe, ale rozwój dość szybki. We Włoszech ruch słaby, w Czechach i Rosyi początki. Sekcja niemiecka wyróżnia się bardzo znacznie usposobieniem wewnętrznym, a mianowicie przywiązywaniem szczególnej wagi do *ideowej wartości chrystyanizmu*.

Podług katechizmu Towarzystwa Teozoficznego chrystyanizm znajduje się w szeregu kilku pierwszorzędných religij świata na stopie absolutnej z innemi równości. W istocie zaś jest mojem zdaniem *zbagatelizowany*, bo rozprawiono się z nim dość powierzchownie, wychodząc z pewnych *przyjętych z góry założeń i utożsamień*.

Zarysowuje się przeto pomiędzy sekcją niemiecką a naczelnym zarządem i resztą linja wcale wyraźna, jednak nazewnątrż i oficjalnie Towarzystwo jest tylko jedno.

Chcąc mówić o całokształcie jakiegokolwiek zjawiska społecznego, należy ujmować je z korzeniami i z tłem; z warunkami czasu, atmosfery myślowej i z głębokim podkładem rasowej duszy.

Każda organizacja jest zjawiskiem społecznym. Bezwzględni wyznawcy Towarzystwa teozoficznego genezę jego przypisują czynnikom zgoła innej natury, ale to jest swoisty pogląd religijny, nie mogący mieć dla ogółu przekonywającego znaczenia.

Owóż organizację rzeczoną wypadłoby rozpatrywać na tle umysłowym drugiej połowy zeszłego wieku z dołączeniem tych przeobrażeń, które w obecnym powstają, osądzać w związku z całym mnóstwem prądów i wpływów. Tylko z takiego punktu widzenia można by tu bezstronność osiągnąć.

Nie sposób jąc się tego w artykule doręczyć. Pozostawiając tedy próbę głębszej oceny do niedalekiej przyszłości, chcę teraz pomówić tylko o dzisiejszym zwrocie, o tym charakterze, który działalność Towarzystwa w ostatnich czasach przybrała. Jest to, nazywając rzeczy po imieniu, charakter *wyznaniowy*.

W założeniu i w teorii Towarzystwo miało nieść i głosić światu ogólny pogląd filozoficzny, będący podkładem i dnem wszystkich religij, a kluczem do wielkiej radosnej zgody.

Założenie zaiste wspaniałe i nie trzeba tracić nadziei, że się to kiedyś da uskutecznić bez przymieszek i zboczeń, w czystości i chwale prawdy.

Tymczasem jednakże i tym razem wykroili się rychło coś w rodzaju dosyć osobliwego kultu religijnego ku czci „mahatmów”, tajemniczych założycieli i opiekunów organizacji. Kult, zdaniem mem, wytworzony z *mieszaniny* pierwiastków indyjskich i chrześcijańskich.

Nie mamy prawa w stosunku jedni do drugich przesądzać, a tembardziej coś *odsądzać od bytu*. Każdy kult odpowiada prawdopodobnie jakiejś potrzebie.

Tu idzie tylko o oznaczenie, że cokolwiek zstępuje na drogę *poszczególną*, nie mo-

że w dalszym ciągu rościć *ślusznych* pretensyi do trwania jako *podkład ogólny*.

Swoista budowa wznoszona przez Towarzystwo teozoficzne, uzyskała już całkiem wyraźną odrębność stylu w związku z głoszoną w ostatnich czasach zapowiedzią przyjścia Chrystusowego.

To nie jest, jak się p. Przewóska wyraża „*nadchodzący tryumf idei Chrystusowych*”, *nadejście Oświeciciela*, przez którego Królestwo Boże zapanuje na ziemi”. To nie „*realizacja ideału ewangelicznego*”, nie do osiągnięcia w wiekach minionych, a mająca być dziełem nowych czasów”:

Gdyby *tak* było, my, czytelnicy Krasińskiego i Cieszkowskiego, powiedzielibyśmy ze szczęściem: jesteście w domu! Ale *nie jesteście*, bo koniec tych rzeczy inaczej się przedstawia:

Głosiciele „*przyjścia Pańskiego*” stoją na stanowisku gnostyków chrześcijańskich z pierwszych stuleci, mianowicie rozróżniają w Jezusie Chrystusie dwie istoty: człowieka Jezusa z Nazaretu i istotę od ludzkiej już wyższą Chrystusa, który się z Jezusem połączył i na czas zjednoczył dopiero w chwili chrztu. Po dokonaniu Żywota, *już według* swoistych teorii teozoficznych adyarskich nastąpiło *rozłączenie* i Jezus wzniosłszy się na stopni *mahatmy* przebywa obecnie w górach Libanu, czuwając z tamtąd nad rozwojem kościołów chrześcijańskich. Posiada ciało i jest z narodowości *Druzem*.

Chrystus zaś ma powrócić. Ma się *znowu połączyć* z człowiekiem godnym tego. Głosiciele są pewni, że tym wybranym stanie się po dojeździe do lat właściwych młodzieńki dzisiaj chłopak, Indus z rodziny bramińskiej, wychowanek prezydentki Towarzystwa, pani Besant. Chłopaka otacza się z tego powodu *nadzwyczajnemi względami*.

Chrystus, gdy się objawi i rozpocznie działalność przez osobę wybranca, przyniesie *religię wszechświatową*, odpowiednią do potrzeb mającej powstać szóstej (nie piątej) rasy ludzkiej.

I łącznie z religją przyniesie filozofję, a nawet sztukę nową. Słowem — dostarczy ludzkości *wszystkiego*.

Adyarskie pojęcie Chrystusa jest z chrześcijańskim sprzeczne, a także od wierzeń gnostyków w całości swej odmienne, pomimo wspomnianego punktu styczności. Chrystus, jak go w tym obozie pojmują, to jedna ze wzniosłych istot, mających za sobą w bardzo dalekiej przeszłości przebyte wszelkie stopnie *doskonalenia się ludzkiego*. Z osiągniętych nadludzkich wyżyn istoty takie mogą świat przez oddziaływanie swe i naukę prowadzić i w ten sposób *zbawiać*. Chrystus jest w obecnym okresie naszej ludzkości *Bodhisatwą* czyli tym, który ma się stać *Buddhą*. Buddha zaś, zawsze według tychże teorii, już wychodzi poza i ponad możliwość zetknięcia się z naszym światem, chyba, że przez ofiarną *zostaje*.

Tak się rzecz przedstawia. Towarzystwo w pismach swych od pewnego czasu mianuje się już całkiem wyraźnie wtórym Janem Chrzcicielem, a wiara w to wszystko opiera się na *objawieniu*, udzielonem przez mistrzów



mahatmów kierownikom ruchu. Schodzimy zatem już bez wątpliwości najmniejszych na grunt wyznaniowy, sekciarski. Doktryna, która się bardzo szybko rozwinęła w ostatnich czasach zaopatrzona jest w pokaźną liczbę pewników, a więc dogmatów; widać to nawet z tak pobieżnego przeglądu.

Nie podaję tych faktów z usposobieniem bezwzględnie, nieżyczliwie dla tego ruchu. Drogę do Domu Ojca jest wiele, o wiele więcej, niżli my krótkowzrocznie dostrzedz umiemy. Mogą być drogi bardzo określone, a przecież doprowadzają z czasem do celu. Szacowną jest nawet w dość dziwacznych zjawiskach *łęsknota ludzka do wywyższenia do rozrostu duszy*. Najszacowniejszą jest zawsze i w każdym wypadku pewną moralną korzyść zdobywa.

Chodziło tylko o sprostowanie błędnego mniemania o charakterze rzeczy. Bowiem czy to biorąc, czy odrzucając, trzeba wiedzieć naprawdę z czym się ma do czynienia,

Odczyt paryski p. Besant, (odbył się tylko jeden, nie kilka) obracał się z łatwo zrozumiałych powodów, w kole ogólników i wstępnych rzutów. Ogólniki jednakże posiadają tę stronę ujemną, że tak łatwo w błąd wiodą.

Jest w artykule p. Przewóskiej ustęp, który mię wprowadził w zupełne zdumienie. Przytaczam:

„Genezis z Ducha” Słowackiego, stanowi jedną z ksiąg wtajemniczenia teozofii w dzisiejszym Adyarze...”

Co to ma być? co to ma znaczyć?

Słowackiego w Adyarze nikt nawet z nazwiska nie znał.

O Genezis nikt nie słyszał. Pierwsze zetknięcie się z tą ideą wywoływało pewne zdziwienie, w którym do zrozumienia doniosłości było bardzo daleko.

Teozofję Słowackiego i całą teozofję polską przenika pojęcie *twórczej samodzielności ducha*. W nauce Tow. teozoficznego tej *zasadniczej samodzielności i twórczości* pomimo pewnych ludzających pozorów—niema.

Na tem, dla braku miejsca, dzisiaj przestać muszę.

Jadwiga Marcinowska.

Kalkuta, w marcu.

□□□□□□□□□□

## Po latach dziesięciu.

WSPOMNIENIE.

Kawakami nie żyje...

Umierał jak na potomka Samurajów przystało z odwagą i tą przedziwną wzdargą wobec śmierci, która nas tak u Japończyków zdumiewała podczas wojny.

Kiedy już zbliżało się konanie, kazał się wynieść na scenę i tam w obliczu publiczności, w otoczeniu całej swej wiernej trupy, czekał na moment ostatni, na śmierć, którą tyle razy, na tej samej scenie, z takim mistrzostwem przedstawiał.

U stóp jego, skulona, cicha, bez jęku, bez słowa, siedziała Sada Yacco... kochanka i żona

— towarzysza trudów i współpracownica — a zarazem właściwie najpiękniejszy poemat i dziecko — jego ducha...

\* \* \*

Było to w roku 1902-m, na kilka lat jeszcze przed wojną, która oczy całego świata zwróciła na ten lud o starej kulturze a młodzieńczej żywotności.

Czasy dziś bardzo odległe, czasy heroiczne „Chimery”... kiedy państwem Wschodzącego słońca, krajem kwitnących wiśni, zajmowali się jedynie artyści — albo ludzie, którzy chcieli zaznaczyć, iż bywali w Paryżu.

Czasy, kiedy Jasiński z właściwą sobie werwą i jaskrawością prowadził walki z Gigantami krytyki artystyczno-literackiej Warszawy i cofał oburzony swoje cenne zbiory z Pałacu Sztuki, kiedy Kisielewski w swym odczycie „O teatrze Japońskim” smagał ironię, antynę teatralną starej Europy i kreślił poetyczny obraz tej wyspy czaru, gdzie wiosna trwa rok cały, a narcyzy i złoćnienie kwitną w blasku promiennych oczu dobrotliwej bogini Amaterosso.

Wtedy to Kawakami i Sada Yacco w powrotnej podróży do Japonii wstąpili do Krakowa i Warszawy.

Poprzedziła ich sława zdobyta na wystawie paryskiej, tym wszechświatowym popisie sztuki ogólnoludzkiej.

W maleńkim teatrzyku przy rue de Paris, w samym sercu wystawy, odbywały się te przedstawienia dramatów japońskich, które właściwie w państwie Wschodzącego Słońca grywały się czasami po dwa dni i są najczęściej improwizacjami aktorów na znany publiczności temat, tutaj, przystosowane do wymagań europejskich, trwały zaledwie godzinę, budząc szczerzy zachwyt i ogromny podziw wśród artystów i poetów całego świata.

Przedewszystkiem zaś Francuzów, przygotowanych przez Gouevurt'ów, Lotiego i innych, a szczególnie przez dokładną znajomość sztuki plastycznej japońskiej do odczucia, jeśli nie do zrozumienia, przedziwnego piękna tej rasy obcej nam zupełnie, ale wykwiśniętej, bohaterskiej, arystokratycznej, o kulturze olbrzymiej a tak oryginalnej, że mimowoli Europejczyk czuł się w obec niej młodym barbarzyńcą.

Lois Fuller, która właściwie namówiła japońską trupę do przyjazdu na wystawę paryską — w pewnej chwili spotkała się z pewnym sceptycyzmem.

Kawakami i Sada, ubrani a raczej przebrani po europejsku, zaiste, nie budzili zaufania.

Artystka jednak na żartobliwe uwagi — odpowiadała z uśmiechem:

— Poczekajcie — zobaczcie ich na scenie, a wtedy będziemy mówić.

I nie czekała długo...

Już na pierwszym przedstawieniu, po pierwszej scenie, kiedy Sada tańczyć zaczęła w owych jedwabnych, wzorzystych haftowanych szatach — podbiła wszystkich wytwornością i wdziękiem — i sztuką swą oczywiście — tą iskrą bożą talentu, która skądkolwiek tryska — w ciemności świeci — a nie jej blasku stłumić nie jest w mocy.

Dała nam nowe objawienie kobiecości...

Kobiecości poza dobrem i złem — której my, ludzie kultury chrześcijańskiej nie możemy u siebie właściwie w całej czystości oglądać.

Bo cokolwiek mówi się — jednakże pojęcie kobiety pogańskie, greckie, istniejącej dla ciała przez ciało, istoty pięknej i złowrogiej, albo tylko rozkosznej, niewystarcza nam, nie zaspokaja tęsknot duszy... a ideał chrześcijański od którego wyzwolić się bądź co bądź nie możemy, ideał Dziewicy i Matki — wyklucza właściwie miłość kochanki. Jasna Pani stoi ponad namiętnością, dominuje mężczyzną, jest tworem jego wyobraźni — światłem, które gaśnie nie zarzając, o ile się w płomień zamienia.

Miłość dla nas jest więc zasadniczą tragedią — bo bez ofiary najwyższej uczucie nie istnieje — a gdy dziewczyna oddaje to, co ma najdroższego — siebie, schodzi z wysokości, rozwiewa tajemnicę — zabija miłość.

Posiadanie może nie zawsze wywołuje przesyty, czasem nawet szal i najwyższą rozkosz — ale zawsze połączone jest z poczuciem rozczarowania, wstydu — upadku... mówiąc po prostu — grzechu wobec własnej duszy. I to przedewszystkiem u mężczyzny, kobieta upaja się swą ofiarą, oszalała cierpieniem, przechodzi z resztą głęboką wewnętrzną pracę — dojrzewa, z dziewczyny najczęściej staje się matką.

Mężczyzna patrzy i myśli... Oczywiście nie koniecznie obojętnie, często nawet, zależnie od delikatności wychowania i temperamentu, przywiązuje się silniej, przez wdzięczność, instynkt — przyzwyczajenie. Bywa przecież, — że jak się wyraża Pismo — stają się podobno — jednym duchem i ciałem — jest to jednak raczej przywiązanie do swej własności, spotęgowanie miłości samego siebie — w osobie swojej kobiety i swoich dzieci.

Ale miłość, ten bodziec ustawiczny czynów wielkich — bohaterstwa, twórczości i ofiary, to wieczyste natchnienie i tęsknota wieczna osiągnięcia najwyższego — ta miłość ginie na zawsze, stając się ciałem.

Podobnie dla nas, ludzi Zachodu — kobieta wyzwolona, żyjąca podług swych instynktów, dla rozkoszy świata, choćby nawet nie była do kupienia, pozostanie bądź co bądź napiętnowana. Możemy rozumować, nazywać to niesprawiedliwością, odrzucać kulturę chrześcijańską, niby płaszczy wyszarzały — daremnie, jest ona już w nas, we krwi nam płynie — i bez wewnętrznego kłamstwa nie jesteśmy w możności uwolnić się od niej.

Wiemy już od czasów Chrystusowych — że nie dla rozkoszy ciała — ani dla woli męża — ale dla Prawdy — dla Ducha, dla Boga istnieje Człowiek — tak mężczyzna jak kobieta, to znaczy, wyrażając się jaśniej, dla Duszy własnej, dla wykrzesania i rozdmuchania w żywy ogień iskry Bóstwa, która nam jest dana. Oczywiście, zapominamy o tem często, nie chcemy pamiętać, zwalczamy nieraz, ale świadomość ta zostaje w nas wewnętrznie.

Zatraciliśmy już spokój na zawsze.

Najwyższy ideał duchowego piękna zmącił nam prostą radość używania.

Miłość jest rozkoszą grzechu i bólem ekspiacy — a raczej jednym i drugim zara-



zem, bo w grzechu jest już ból — a w ekspiacy — rozkosz.

Właściwie w poezji, w literaturze miłości u nas nie istnieją — są ofiary i kusicielki — uwodzące i uwiedzione, święte i pokutnice.

„Bądźmy jako Bogowie i jako zwierzęta” — powiedział Goethe, ale właśnie tego nie umiemy zupełnie — dowodem zaś najlepszym rozwinięta w całej Europie wstydlivość i tem staranniejsze zwracanie uwagi na pozory, im większe może zepsucie.

W Japonii — inaczej — wstyd nie jest towarzyszem nieodstępny — cieniem wieczystym rozkoszy.

Kobieta nie posiada własnej duszy do zbawienia — istnieje li tylko dla mężczyzny — i przez mężczyznę — dla jego przyjemności i wygody.

Ma być rozkoszą oczu, jako woniejący kwiat, jako jasnopióry ptak — jak różnobarwny motyl — ma być ucieszeniem serc, jak zorza wieczorna na wiosennym niebie, ma być rozrywką niebezpieczną, drażniącą wiecznie bojownika i zdobywcę, jako wulkan miotająca płomień — jako morska głęb niezbadana i tajemnicza.

Cicha, oddana, uległa żona, otaczająca czcią religijną przysięgę małżeńską — śmiała, niepohamowana, uczuciowa, szalona Gejsza, świadoma wszelkich tajników budzenia pragnień, kształcona umiejętnie z celem wywoływania dreszczów rozkoszy, ale zarazem artystycznych wrażeń.

Tak nam przynajmniej kobietę japońską objawiła w grze swojej Sada Yacco — uzupełniając przedziwnie owe wizye, pełne wdzięku i wytworności — a także wyrafinowanego erotyzmu, jakie nam dali plastycy japońscy — a mianowicie niezrównani Atlamoro i Hohusai.

Oczywiście, jeżeli rozkosz i wygoda mężczyzny jest jedynym probierzem wartości kobiecej — stoimy najzupełniej po za dobrem i złem.

Dla różnych potrzeb Japończyk wytworzył sobie czy wychował dwa rodzaje kobiet — wierne, pełne wdzięku i uległości żony — matki dzieciom — dla rodziny — ogniska domowego — i umiejętnie gejsze — tancerki i śpiewaczki, dla ozdoby życia, które zresztą bez żadnej dla siebie ujmę mężczyzna może zawsze pod dach swój wprowadzić i do godności prawej żony podnieść.

W samej rzeczy jednak, między małżonką japońską — a gejszą, niema i być nie może tej zasadniczej różnicy, jaka istnieje u nas — między kobietą cnotliwą, a kurtyzaną, która bądź co bądź plami godność wolnej, nieśmiertelnej duszy — powołanej do najwyższych celów własnej doskonałości.

I dla tego być gejszą w Japonii nie pociąga za sobą piętna haniebnego — jest raczej dopełnieniem jednego z przeznaczeń kobiety.

Stoimy tu całkowicie po za cnotą i występkiem, ale nie po za pięknem i dobrem życia.

Przeciwne — to co jest w kobiecości, wieczne... całopalenie w miłości — poświęcenie siebie, konieczność złożenia ofiary najwyższej, współczucie za cierpiącymi i słabszy-

mi a zarazem uwielbienie siły i bohaterstwa — rozwija się w Japonii niby kwiat precudny, o barwach gorących i subtelnościach kształtu, godnych blasku orientального słońca, i odwiecznej kultury — tej tajemniczej rosy.

Przypomnijmy sobie tylko Kesę, jedną z najlepszych ról Sady Yacco — Kesę, porwaną przez zbójców, wyzwoloną przez rycerza, którą następnie matka wydaje za mąż za innego.

Rycerz nie zginął na wojnie, powraca i żąda spełnienia obietnicy.

Zapóźno.

Zastaje Kesę poślubioną, w domu małżonka.

A więc matka winna, matka nie dotrzymała słowa i zapłaci głową.

Kesa błaga... Nie... nie matka, ona stara, słaba, zresztą cóż matka... Mąż — mąż zmuszał — będą wolni.

Zmawiają się.

W nocy Kesa wpuści ukochanego — tam będzie on — wskazuje łóżko męża.

Kesa wie, że rycerz musi dopełnić zemsty, że to nie tylko jest jego prawem, ale koniecznością miłości — honoru męskiego potrzeba. Ona to rozumie i zgadza się z tem w duszy zupełnie, ale z tem nie może się pogodzić, aby przez nią krew się polała — aby dla niej matka czy mąż ginęli.

Wybiera więc sama śmierć, w nocy rycerz zamiast męża, ją zabije.

Komukolwiek dane było widzieć, jak Sada ten list pożegnalny pisała, nie zapomni nigdy tej chwili.

A potem konanie... cichy — słaby jęk... dreszcz — i jak zdławiony ptak.

Zresztą żadne słowa tego nie są oddać w stanie.

Trzeba było widzieć, jak mimo obcych dźwięków niezrozumiałego języka — wyczarować wprost umiała tę wieczną żądzę samofiary w kobiecie, to pojęcie wspólne bez względu na rasę i kulturę — i że nie miłość dla kobiety czystej, a która już nie jest wolna, tylko śmierć jest jedynym ocaleniem.

W drugiej sztuce „Gejsza i siedmiu bonzów”, już po za tańcami, których wyborna gracia przypominała chyba menuety tańczone ongi przez markizy w Wersalu — uwydatniła Sada drugi rys charakterystyczny „des evig Veiblichen”.

Bezgrzeszność miłości... Zapamiętanie w uczuciu, święty szal, który pcha kobiety do bohaterstwa lub zbrodni, zależnie od chwili, ale tak żywiołowy, tak konieczny, że się przed niczem nie cofnie, niczego nie ulęknie, na wszystko odważy — na mord, świętokradztwo, śmierć i wieczną mękę.

Gejsza, aby odzyskać ukochanego, przepuści bonzów, przeniknie do świątyni, odnajdzie go, odszuka i bronić go, umrze dla niego, szczęśliwa.

O ten uśmiech rozkosznej błogości na twarzy Sady konającej... ten uśmiech cudny Ewy Pobratymskiej, gdy w szpitalu nad wpółprzutomną, kloni się ukochana głowa Łukasza. Nie można nie było rozumieć, nie można nie było odczuć, bo właściwie miłość dla kobiety, odrzuciwszy pewne zewnętrzne formy i osoby, jest wszędzie, jedna i zawsze ta sama, czy to w kraju złoceni i błękitniejących

na horyzoncie wulkanów, czy nad brzegiem Sekwany, czy wśród puszczy litewskich lub na pszenicznej kujawskiej równinie.

I tak Sada uczyła nas — miłości.

Drobna, wątła, o cerze bladej, prawie złotej, jakby księżycem prześwieconej — przesuwająca się po scenie, niby jedna z tych figurek japońskich z kości słoniowej, arcydzieł przedziwnego kunsztu, o tajemniczym wyrazie skośnych oczu i subtelnym uśmiechu karminowych warg.

A Kawakami?

Kawakami bił się z furją, a podobno z umiejętnością nie spotykaną u aktorów europejskich, bił się jak na rycerza przystało, pochodził bowiem ze znakomitej japońskiej rodziny, był przyjacielem markiza Ito, po za tem olśniewał przepychem haftów swoich jedwabnych szat, bogactwem zbroi i cyzelowanych szabel, zdumiewał a zarazem może i potrochu odstraszał realizmem swojej gry i charakterystyki i urządził „harakiri”, które wprost wyrывało z piersi okrzyki przerażenia a nawet wstrętu.

Ten rodzaj samobójstwa wydawał nam się conajmniej barbarzyńskim.

Zresztą, było to przed wojną, a znamienne cechy rycerzy tego małego względnie odległego kraiku nie zajmowały nas jeszcze tak żywo, jakby to miało oczywiście miejsce w parę lat później.

A jednak Kawakami stworzył Sadę, jemu to przedewszystkiem zawdzięczamy, że mogliśmy podziwiać tę wielką artystkę.

On to ją bowiem wywiódł z „Donku Zielonego” przy Yoniwera, gdzie tańczyła i śpiewała przy dźwięku „tam-tam”, jako młodzieńca gejsza.

On pokochał ją, ożenił się, i dla miłości dla niej rzucił swe stanowisko w polityce — stał się aktorem, budząc w drżącym jeszcze umyśle gejszy poczucie wielkiej sztuki, kształcąc w niej niepomierne dary natury: inteligencję bystrą, subtelną intuicję i wdzięk przyrodzony. Uczennica pojęła mistrza, dorównała mu, a może nawet siłą talentu przewyższyła, w każdym razie jednak, oboje, Kawakami i Sada podjęli się olbrzymiego zadania, odrodzenia teatru japońskiego.

Dziś Sada została sama.

Kawakami nie żyje.

Wieść ta żałobna ze stron dalekich, z za Oceanu Spokojnego falę poruszyła wspomnień... wskrzesiła na chwilę wizję młodości naszej pięknej, a już tak odległej.

Ueber allen Gipfeln

Ist Ruh

In allen Wipfeln

Spuerest du

Kaum einen Hauch;

Die Voeglein schweigen im Walde.

Warte nur balde

Ruhest du auch.

Marya Iwanowska.

□□□□□□□□



## Najnowsze poglądy na nasze odżywianie.

Pomimo jeszcze wielkich, nawet ogromnych braków naszej higieny życia domowego, pomimo bardzo słabego przygotowania pań gospodyń i matek do tych odpowiedzialnych placówek rodzinnego życia, jednak śmiało można twierdzić, że w tym kierunku w ostatniej dobie następuje dość szybko dodatnia zmiana.

Prawda, że to tylko inteligentny ogół stara się zapoznać z postulatami higieny, ażeby tym sposobem wyrównać luki niezapełnione wiadomościami szkolnymi, tak jeszcze do dziś ignorującami tę wielką, społeczną, socjalną naukę o zdrowiu—higienę; jednak coraz częściej my lekarze, spotykamy się ze staraniami i wysiłkami rodziców, by podnieść zdrowotność swych dzieci, by ować swe gniazdo rodzinne atmosferą zdrowotną. A nawet są i tacy, którzy z zaparciem wyzywiają się niehygienicznych naleciałości, quasi-cywilizacyjnych. Jedną z takich naleciałości, quasi-cywilizacyjnych jest nasz dzisiejszy sposób odżywiania, szczególnie w większych centrach skupionej ludności przy życiu pośpiesznym, gorączkowym, nerwowym.

Wśród całej gamy zdrowotnych potrzeb, *odżywianie* zajmuje jedno z pierwszych miejsc, gdyż ono jest niezbędnym dla podtrzymania wszystkich procesów życiowych żyjących organizmów zarówno ludzkich, jak i zwierzęcych.

Z punktu widzenia biologii życie nasze jest ciągłą bez przerwy wymianą: z jednej strony przyjmujemy pokarmy, czyli materię, który podtrzymuje nasze życie, wytwarza ciepło, energię życiową, zabezpiecza młodym organizmom dalszy rozwój,—a z drugiej znowu strony komórki ciała przyswajają z pokarmów właściwe sobie składniki chemiczne, by je przetrawić i wraz z bezwartościowymi wyrzucić z organizmu. Pierwsza funkcja, czyli przyswajanie pokarmów, to *asymilacja*, druga zaś *dezasymilacja* czyli wydzielanie przetrawionych lub bezwartościowych substancji.

Utrzymać harmonię i ciągłość wymiany z jednej strony, między dostarczaniem paliwa i wody, tej skomplikowanej maszynie zwierzęcej, z drugiej strony między wytworzeniem przez nią energii i wyrzucaniem odpadków — jest najgłówniejszą zasadą istot organicznych. Z tego względu, fizjologia odżywiania musi odpowiadać następującym warunkom: 1) pokarmy, których zadaniem jest utrzymanie ciepła i energii życiowej naszych organizmów, muszą *odpowiadać chemicznemu składowi* naszych mięśni, kości, nerwów, krwi i poszczególnych gruczołów, jak wątroba, śledziona, nerki, i t. d. — 2) musi trwać ciągła harmonia wymiany materii, 3) że te podstawowe, kardynalne składniki chemiczne, chociaż w różnych pokarmach przedstawiają różne kombinacje ilościowe, lecz zawsze składać się winny z *białka*, z *tłuszczu*, z *cukru*, i niektórych *sol*.

Na znaczenie soli nieorganicznych, które wchodzą w skład naszego organizmu, wskazywał już Liebig, a w ostatnich latach szereg fizjologów francuskich i niemieckich nie tylko potwierdzili jego przypuszczenie, lecz na zasadzie metod doświadczalnych w zupełności ugruntowa-

wali w fizjologii, chemii i medycynie, że te pierwiastki i te sole — dla organizmu naszego są tak samo niezbędne, jak białko, tłuszcz i cukier. I tak, w skład tkanek ludzkiego ciała wchodzi następujące pierwiastki chemiczne: żelazo, sód, potas, wapień, siarka, fosfor, chlor, krzem, jod i fluor; a oprócz tego organizm nasz zawiera dużo soli, nieorganicznych, z których *sól kuchenna* (chlorek sodu), stanowi niezbędną składową część krwi, a sole potasowe znajdują się w komórkach różnych tkanek naszego organizmu.

Dr. med. J. Budzińska-Tylicka.

(D. c. n.)

□□□□□□□□

## Rytmika, eurytmika i rozwój wychowania fizycznego.

W Tow. Kultury polskiej odbył się staraniem Komisji do spraw kobiecych odczyt p. Heleny Prawdzic-Kuczalskiej p. t.: „Udział kobiet w ruchu fizycznym na zachodzie i sprawozdanie z kongresu w Odensee”.

Zaznaczywszy niezwykle energiczną działalność kobiecą, zwłaszcza w Belgii i Szwecji, na polu popierania rozwoju gimnastyki i racjonalnych sportów, p. Prawdzic-Kuczalska żywo i barwnie przesunęła przed słuchaczami obrazy olbrzymich dorobków w dziedzinie reform wychowania fizycznego, jakie ostatnimi czasy osiągnęła cała prawie zachodnia Europa.

Wyrazem najnowszych zdobyczy są uchwały licznie zwoływanych i bardzo ożywionych kongresów które, ściągając apostołów wychowania fizycznego ze wszystkich stron świata, wskazują potężną falę rozwijającej się wciąż idei.

Francja w 1900 roku pierwsza zwołała taki kongres. Utorowawszy, jak zwykle w Europie, nowe drogi, złożyła berło w ręce Belgii.

Następny kongres odbył się w Liege, gdzie różnica zapatrywań między kierownikami odmiennych typów gimnastyki, doprowadziwszy do bardzo burzliwych niesnasek, zaakcentowała całą żywość dojrzewającej sprawy.

Silę zrównoważenia i świadomości zadań wykazał kongres brukselski w 1910 r., zakończony łuną pożaru na wszechświatowej wystawie. Jeszcze donioślejsze plony pod tym względem przyniósł ostatni zjazd międzynarodowy w małym miasteczku duńskim Odensee w lecie 1911 r.

Uznano tam za konieczne:

1) wprowadzanie gimnastyki do programów szkolnych obu płci od wstępnej klasy.

2) Zalecenie wszystkim bez wyjątku nauczycielom, nauczycielkom, wychowawcom i wychowawczyniom obowiązkowej znajomości teoretycznych zasad gimnastyki.

3) Nie noszenie gorsetów (wniosek odrzucony).

4) Wprowadzenie we wszystkich krajach laboratoryjów, kontrolujących wartość

ćwiczeń gimnastycznych, aby na mocy osiągniętych wyników ustanowić typ najzdrowszych i najbardziej prawidłowych ruchów.

5) Potępienie bataljonów wywiadowczych (z pośród młodzieży szkolnej) angielskich i rosyjskich? punktu antimilitarnego i nie pedagogicznego.

6) Potępienie sportu piłki nożnej, jako wywołującego mnóstwo niebezpiecznych wypadków.

7) Zalecenie dla kobiet jako najważniejszych ruchów oddechowych i brzusznych.

8) Uznano w wychowaniu fizycznym dziewcząt odrodzenie ludzkości.

Lwią część odczytu p. Prawdzic-Kuczalskiej wypełniło wskazanie różnicy między dwoma typami gimnastyki, walczącymi obecnie o palmę pierwszeństwa na zachodzie: rytmiczną i eurytmiczną. Pierwszą wprowadziła u nas trzy lata temu p. Kuterówna i rozślawił w zeszłym roku twórca jej, Dalcroze z Genewy, dwukrotnym pokazem ćwiczeń szkoły swojej na estradzie w Filharmonii. Obecnie, w osobie p. Janiny Mieczysławskiej, która skończyła pełny trzyletni kurs Dalcroze'a, Warszawa zdobyła drugą pionierkę systemu genewskiego mistrza.

Rytmiczna gimnastyka dostosowująca, zdaniem p. Kuczalskiej, ćwiczenia do muzyki, nie rozwija, według niej, dostatecznie mięśni. Dlatego wprowadziła ona w swoim własnym zakładzie gimnastykę eurytmiczną, stosowaną w Belgii, a stanowiącą mniej więcej przejście od gimnastyki szwedzkiej do gimnastyki rytmicznej. Nie ćwiczenia do muzyki, lecz muzyka stosuje się tutaj do ćwiczeń, uwzględniających możliwy rozwój mięśni i prawidłowe ruchy całego organizmu.

Nawołując gimnastyczki nasze do poznania tego typu (p. Kuczalska, nie znalazłszy odpowiednich kierowniczek u nas, była zmuszona sprowadzić dla kompletów swoich wyćwiczoną eurytmiczkę z Belgii), mówczyni zakończyła niezmiernie interesujący odczyt smutnym obrazem wychowania fizycznego u nas.

Szkoły nasze i zakłady gimnastyczne prowadzą żywot suchotniczy. Gdy prowincja domaga się od nas nauczycieli i nauczycielek gimnastyki, możemy jej co najwyżej wskazać adresy... cudzoziemców. Nie przyjdzie na myśl lekarzom naszym popieranie rozwoju gimnastyki i zalecanie jej jako środka leczniczego.

Daleko wyżej od Warszawy stoi pod tym względem Lwów, który ma kilku lekarzy (z doktorem Piaseckim na czele), popierających usilnie rozwój wychowania fizycznego.

Z tamąd przyjdzie może do nas bodziec silniejszy.

Twórcy gimnastyki eurytmicznej zwrócili się do tańców ludowych po motywy oryginalnych, celowych i artystycznych ćwiczeń. Poszukiwania dały wynik niezwykle bogaty, zwłaszcza w Szwecji, gdzie tańce ludowe stały się nieodłączną częścią



najefektowniejszych popisów gimnastycznych.

Dzięki jednostkom, rozwinął się u nas silnie ruch w kierunku zdobnictwa, architektury i sztuki ludowej.

Może znajdą się prozelici, którzy — w myśl p. Prawdzic-Kuczalskiej — z pięknych tańców ludu naszego stworzą gimnastykę przyszłości. Do rytmu krakowiaków, mazurków, polonezów i oberków Chopina!

C. W.

□□□□□□□□

### Wieczór ku czci Z. Krasińskiego w szkole p. Hryniewieckiej.

Podniosła w nastroju chwilę, krzepiącą pięknem poczerpięciem z najczystszych źródeł, spędzili niedawno ci, co dość licznie przybyli do lokalu szkoły wokalnodramatycznej p. Hryniewieckiej (ulica Marszałkowska № 69), gdzie wieczór poświęcono zbożnemu rozpamiętywaniu twórczości poety.

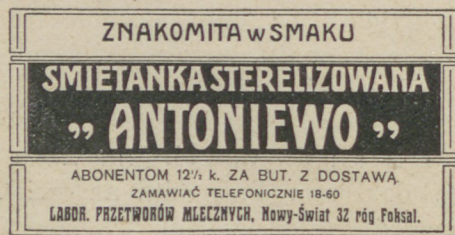
Pierwszą część wieczoru wypełnił piękny formą, subtelnie i głęboko w treści opracowany, odczyt p. Alicji Szamoty o życiu i twórczości Krasińskiego; na część drugą złożyły się deklamacje utworów poety uczenie szkoły, świadczące o wysokim poziomie artystycznym tej sympatycznej uczelni.

Na końcu prawdziwy entuzjazm wzbudziła wśród słuchaczy doskonała, zarówno w ekspresji, jak w mimice deklamacja jednej z najbardziej utalentowanych uczennic szkoły p. Ali Przedborskiej, która wierszem: „Jak kawał lodu skrzepło serce moje”, porwała audytorium, stając się przedmiotem impulsywnej owacji zebranych.

Szkola p. Hryniewieckiej często urządza wieczory poświęcone rozpatrywaniu twórczości naszych wielkich poetów, dawnych i współczesnych, krzewiąc tym sposobem poczucie piękna słowa w szerszej publiczności.

Pożądanem byłoby, aby osoby prowadzące życie bardzo towarzyskie, dla urozmaicenia gościom pobytu w swoim domu, zapraszały częściej niż to czynią dotąd, uczenie owej szkoły, dla śpiewu i deklamacji. Byłoby to nie tylko miłym urozmaicheniem szablonowego życia towarzyskiego, ale i wprowadzeniem do niego czynnika podnioslejszej natury, a wszak o tem zapominać nie wolno.

St. Poraj.





**MACZKA MLECZNA „BÉBÉ”. PRZYGOTOWANA Z CZYSTEGO MŁĘKA ALPEJSKIEGO, JEST WYBORNYM, NIEDAJĄCYM SIĘ ZASTĄPIĆ PO-KARMEM DLA SSAWCÓW I DZIECI.**

Dość można w Aptekach i Składach materiałów aptecznych.

**SKŁAD GŁÓWNY**  
**— Tow. Akc. „Fr. Karpiński w Warszawie” —**  
 Elektoralna 35. Telef. 600.

### Polityka daleka i bliska.

Ciekawe istotnie bywają zjawiska.

Gdy w „konserwatywnej” Anglii wybuchnął olbrzymi strajk górniczy, pierwszą pracą rządu było zorganizowanie konferencji z przedstawicielami pracowników i pracodawców. Gdy konferencje się nie powiodły, gdy nie wydały rezultatu, rząd wniósł projekt ustalenia normy płac do parlamentu i parlament rozpatrzył sprawę — do głosowania, w ciągu tygodnia.

Gdy w państwie niemieckim, gdzie parlament jest socjalistyczny, wybuchnął strajk w Westfalii, w zagłębiu rzeki Ruhr, strajk, częścią sympatyzujący z Anglią, częścią jednak wywołany fatalnymi warunkami pracy i płacy, pierwszym krokiem rządu niemieckiego był nakaz strzelania do tłumu! W Bruckhausen, w Duisburgu, w Naumühl, zabijano robotników i nie robotników, a w Hamburgu burmistrz miasta ogłosił, że nakazuje wojsku i policji strzelać do każdego, kto poważy się ukazać w otwartym oknie, lub stać w większej gromadzie na ulicy!

Rozważany przez parlament angielski bill o płacy minimalnej, przyjęty już w drugim czytaniu, zapewnia minimum płacy, stosownie do danego okręgu, oddając organizację umów komitetom, które w każdym okręgu mają minimum i maximum określić. Na ten projekt prawa patrzą nieprzychylnie unioniści, twierdząc iż jest to naruszenie dawnej zasady wolnej umowy pracownika z pracodawcą, naruszenie, mogące mieć bardzo daleko idące następstwa i w innych gałęziach pracy, z drugiej strony robotnicy sprzeciwiają się projektowi, który stawia tylko zasadę minimum, ale sumy tego minimum, (żądanych 8 szylingów) nie określa. Jeśli rząd nie dojdzie z partią pracy do porozumienia, to możliwym jest nawet upadek liberalnego gabinetu.

Jakkolwiek się stanie — krwi nie ma dotąd rząd angielski na sumieniu.

Pomimo, że strajk objął miliony i wyrządził strat na miljarde.

N. J.

### SPROSTOWANIE.

W N-r. 13, w sprawozdaniu z odczytu prof. Dziechowskiego, zamiast filozofii średniowiecznej ma być szkół starożytnych, wiersz 19, szp. 2.



### Treść numeru:

Kazimierzowi Tetmajerowi — w hołdzie od Redakcji „Bluszczu”. — Zawisza Czarny, przez G. Olechowskiego. — Mowa, wypowiedziana przez p. N. Jastrzębską na bankiecie jubileuszowym Kazimierza Przerwy-Tetmajera. — Hymn, z niedrukowanych poezji J. I. Kraszewskiego. — Koleżanka Stefa, przez C. Walewską. — Z prawdziwego zdarzenia, przez Zofię Seidlerową. — Wyświetleniu gwoli, przez Jadwigę Marcinowską. — Po latach dziesięciu, przez Maryę Iwanowską. — Najnowsze poglądy na nasze odżywianie, przez dr. med. J. Budzińską-Tylicką. — Rytmika, eurytmika i rozwój wychowania fizycznego, przez C. W. — Wieczór ku czci Z. Krasińskiego w szkole p. Hryniewieckiej, przez St. Poraj. — Polityka daleka i bliska, przez N. J. — Ogłoszenia.

Do niniejszego numeru dołącza się:

- 1) Dodatek mój.
- 2) Dodatek powieściowy „Rebeka ze słonecznego potoku” ark. 12.

### OD ADMINISTRACYI.

—0—

**Z powodu kończącego się kwartału prosimy o wczesne nadsyłanie prenumeraty.**

## Cherchez la Femme

najnowszą perfumę o nadzwyczaj subtelnym, prześlicznym, długotrwałym zapachu i taką samą **Wodę kwiatową**

poleca **Parfumerie „La Régente” Paris—Jicin.**

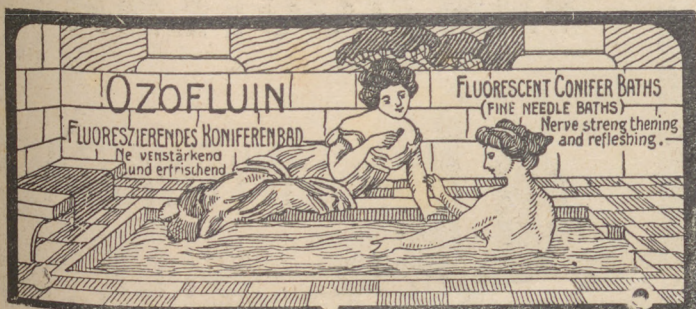
Otrzymać można w lepszych składach aptecznych, perfumerjach i zakładach fryzjerskich.

Skład Główny i Przedstawiciel na Królestwo i Cesarstwo W. Dobrowolski Warszawa Chmielna 36 telefon 110-73.



**TABLETKI KEFIROWE** do wyrobu domowego KEFIRU wyrabiane w Aptece i Fabryce Tabletek, Modlińskiego i Lilpopa dostać można w Warszawie, w Aptekach i Składach Aptecznych.

## Ozofluin,



kąpiel wzmacniająca i orzeźwiająca ciało i nerwy, przytem pięknie pachnąca ze śliczną fluorescencyą w formie zarnistej, jest dawno już pożądaną wzmianą zwykłych kąpieł iglicowych i ogólnie uznany za najlepszy sosnowy preparat, jaki tylko może być zastosowany w praktyce kąpielowej. Ozofluinową kąpiel można także łączyć z innymi kąpielami, jako to: żelazistymi, tlenowymi, kwaso-węglowymi siarkowymi i potęgować ich działanie. Ozofluin odznaczony został najwyższemi nagrodami na Powszechnej Wystawie higienicznej w Dreźnie 1911 r. i Hygieniczno-Sportowej wystawie w Medyolanie 1911 r. 1 oryginalne pudełko na 10 kąpielei 5 rb., na 5 — 3 rb., próbna kąpiel 80 kop.

Żądać we wszystkich aptekach i większych składach aptecznych. **OZOFLUIN-CENTRALE, BAZYLEA ST. JOHANNVORSTADT 42.**

Główny przedstawiciel na Król. P.o. i Litwę:  
**JAN SROCYŃSKI, Warszawa, Złota 23, telefon 212-80.**

Fabryka i Magazyn Wyróbów Jubilerskich

**D. EPSTEINA**

warszawa, Marszałkowska 98. Tel. 167-66

Piękna biżuterja — pierwszorzędne zegarki szwajcarskie. Obstalunki reperacje, złocenie, srebrzenie. Kupno złota, srebra i drogich kamieni.

„SALON MÓD”

**M-me Wanda**

Gustowne i Tanio Nowości sezonowe. **Krucza Nr. 40. WARSZAWA.**

## KALODONT

Niezbędny **KREM i ELIKSIR do ZĘBÓW**

Utrzymuje zęby biało, czysto i zdrowo.

żądać wszędzie

Świeżo opuściła prasę głośna książka  
**J. P. Müllera**

## Etyka pleciowa, a szczęście w życiu

Cena Rb. 1.20.

**GŁOSY PRASY DUŃSKIEJ O POWYŻSZEJ KSIĄŻCE:**

... podziwiać należy odwagę i energję autora. Książkę przenika jego niezmierna miłość ku cierpiącej ludzkości i z całą służebnością nazywają go Anglicy „wielkim apostołem zdrowia”. Pewną jest rzecz jedna: książka ta będzie czytana, a poruszone w niej kwestje będą służyły za tematy do rozmów i sporów. („Idrätten”).

... książka, której brak czuliśmy oddawna, bez najmniejszego wahanja oświadczamy, iż jest to książka, która przyczyni się niezmiernie do polepszenia świata. Z całego serca życzymy jej takiej poczytności, jaką cieszy się „Mój system”. Życie stanie się wówczas czystsze, zdrowiejsze i lepsze. („Folkets Avis”).

... w książce Müllera spotykamy tak wiele szlachetnych nowych myśli, tak wiele prawych usiłowań w celu rozwiązania poruszonych zagadnień, iż należy się spodziewać, że zostanie przeczytana przez większość poważnie myślących mężczyzn i kobiet. („Middagsposten”).

TEGOŻ AUTORA

## Mój system dla kobiet,

jedna droga do utrwalenia zdrowia, oraz rozwoju i zachowania piękności.

za 109 rycinami i oddzielną tablicą ćwiczeń.

Cena kop. 80, w opr. kop. 90.

Do nabycia we wszystkich księgarniach.

Skład główny w księgarni **GEBETHNERA i WOLFFA.**

## Potrawy na zapas!

Jarzyny, owoce, soki, mięsa, ryby, mleko i t. p., zachowują swoją pierwotną świeżość na czas nieograniczony

w **KONSERWATORZE**  
FIRMY

**Gustaw i Henryk Neumann**

**WARSZAWA, WŁODZIMIERSKA 1 róg Ś-to Krzyżsk. tel. 243-50.**

Sprzedaż hurtowa i detaliczna. Poszukiwani zastępcy we wszystkich miastach Królestwa i Cesarstwa.

Cenniki i broszura ze wskazówkami przygotowywania potraw za nadesłaniem 20 kop. markami.



**Zmarszczki z twarzy usuwa**

**ABARID KREM**

otrzymany z cebulek białej lilii (Lilium candidum)

Perfumerya „PERFECTION” Warszawa, Szpitalna 10.

LWÓW: Pawłowski, ul. Sykstuska 43. POZNAŃ: Kantecka, Halldorfstrasse 4.

## „Helena-Walerja” Marszałkowska 38

piętro, tel. 181-31

Pracownia **Sukien, Kostjumów i Kapeluszy**

poleca gustowne i pierwszorzędne wykonanie.

## Niema Siwych Włosów

Teinture Végétale, D-ra chemji S. Tarin w Paryżu. Teinture Végétale natychmiastowo i trwale nieodbarwiając przywraca włosom naturalny kolor Barwi we wszystkich najsubtelniejszych odcieniach. Żądać w większych skl. aptecznych, perfumeryach i z skl. fryzjerskich. Hurtowy skład i wyłączna sprzedaż u **M. SŁOMCZEWSKIEGO, Warszawa, Al. Jerozolimska 39, tel. 11-00.**

Wszelkie wyroby z włosów — i wielki wybór kosmetycznych artykułów, a również i perfumerye zagraniczne i krajowe są zawsze na składzie i takowe poleca się uwadze Szanownych Pań.

Poleca się **Sz. Publiczności**

**Pralnia hemiczna i farbiarnia**

**Fr. DOŁĘGI**

która, po cenach przystępnych wykonywa wszelkie roboty w zakresie pralni wchodzących, jako to: garderobę damską i męską, dywany, portjery, firanki i t. d.

**Al. Jerozolimska 52 wprost Dw. Wiedeńskiego. Telefon 177-39.**

**Pracownia Gorsetów**

## Marja Jadwiga

Warszawa,

**ul. Marszałkowska Nr. 62.**

Gorsety, fasony najświeższe, pasy, biusthalter, szelczki i t. p.

oraz **GORSECIKI HYGIENICZNE** dla pańienek.

**NAJLEPSZY ŚRODEK DO MYCIA WŁOSÓW SHAMPOOING DRA HARROLDA**



**TYLKO W TYM OPAKOWANIU**

Sprzedaż w perfumier. skład aptecz. i u fryzjerów.

**BIURO NAUCZYCIELSKIE**

**W. Rościszewskiej**

Nauczyciele, nauczycielki, wychowawczynie polki. Francuzki, Angielki, Niemki sprowadza z zagranicy. Chmielna № 25 telefon 107-02. Warszawa.



**KAZDA MATKA**

DBAJĄCA O ZDROWIE SWOICH DZIECI DAJE IM NA ŚNIADANIE JEDYNI

**OWSIANE KAKAO WEDLA**

ZAŁECANE PRZEZ LEKARZY!

Znany magazyn konfekcyi damskiej

**p. f. M-me. „Casimiere”**

prowadzony pod kierunk. uzdolnionego krojczego nagrodzonego dyplomem w Paryżu

przyjmuję zamówienia na suknie wizytowe, spacerowe, kostjumy angielskie, okrycia, **ROBOTA WYKWINTNA**

**Warszawa, Marszałkowska 108 front**

Dewizą magazynu jest akuratność i punktualność.



„OD STÓP DO GŁÓW”,

OGŁADA SIĘ CZŁOWIEKA

Używajcie przeto znakomitej pasty

**ONLY**

A WTEDY STOPY WASZE ZAWSZE BĘDĄ ELEGANCKIE

ŻAŁOĆ WSZĘDZIE!

**PIERWSZA SZKOŁA KROJU**

**M-me MERCÈRE**

Nagrodzona złotymi medalami

na wystawie „Pracy Kobiet” „włóknisto-konfekcyjnej” za krój i postęp uczenia. Kursy krawiectwa i bielizny. Gruntowna nauka pasowania oraz modelowania. Przy szkole pracownia. Pensjonat.

Telefon № 87-48. Warszawa, Nowy-Świat № 42.

Zaleca się **„JUNO”** Centralnego Laboratorium Chemicznego Woda ta przywraca siwym włosom ich pierwotny naturalny kolor. Sprzedaż w składach aptecznych.

NAGRODZONA ZŁOTYM MEDALEM

Pracownia haftów artystycznych oraz koronkarstwa i sztuki stosowanej

**„POLONIA”**

Warszawa, Zielna 24 m. 17. Tel. 236-61.

**ZAPOBIEDZ CHOROBY**

dzieci może każda matka, krzepiąc organizm dziecka racjonalnym odżywianiem.

Powagi medyczne orzekły, że

**MACZKA MLECZNA**

**NESTLÉ'a**

wpływa zbawiennie na pomyślny rozwój organizmu dziecka.



OSZCZĘDNA GOSPODYNI UŻYWA  
TYLKO PRAWDZIWEGO  
ANGIELSKIEGO  
MYDŁA DO  
PRANIA

**SUNLIGHT SOAP** MYDŁO  
„SENLAIT”  
NIE NISZCZY BIELIZNY  
I JEST NAJTAŃSZYM W UŻYCIU  
ŻĄDAĆ WSZĘDZIE po 25 kop.

Marya Ochrowicz-Monatowa

## Uniwersalna Książka Kucharska

z ilustracjami i kolorowymi tablicami.

Zawiera przeszło 2000 skromnych i wytwornych przepisów gospodarskich i kuchennych z uwzględnieniem niezbędnych warunków odpowiedniej diety codziennej higieny oraz kuchni jarskiej.

8-p str. 743.

Cena brosz. Rb. 2.40

W kartonie „ 2.70

W ozd. opr. „ 3.—

Sztuka kulinarna zmienia się z postępem czasu. Dawniej kładziono nacisk na ilość, osobliwość i wygląd potraw — dziś chodzi głównie o zdrowie i smaczne przyrządzenie, a przy wzrastającej coraz więcej drożyznie i oszczędnie prowadzenie kuchni.

Autorka podaje w książce swej krótkie streszczenie historii sztuki kucharskiej dalej tak mało dotąd uwzględniane wiadomości dyetyczne, specjalne diety w różnych chronicznych cierpieniach, zalecane przez znane powagi lekarskie, tablice składu chemicznego najważniejszych artykułów żywności, a wreszcie oprócz licznych przepisów potraw czysto polskich jak i międzynarodowych, około 500 przepisów potraw specjalnie dla kuchni jarskiej.

Przepisy potraw zebrane są w ten sposób, aby z nich można wybrać odpowiednie dla prowadzenia kuchni i zarówno w najskromniejszych jak i w najzamożniejszych domach.

Nakład Księgarni E. Wendego i Sp. (T. Hiza i A. Turkula), w Warszawie Krakowskie Przedmieście 9, w Łodzi Księgarnia Ludwika Fiszer.

### Wolanty haftowane batystowe na suknie Bluzki haftowane odpasowane Batysty haftowane na bluzki

POLECA B. TANIO E. Mirecka  
Skład firanek, koronek i haft.

KRUCZA 46 m. 4 TELEFON 107-31.



### CREM CESARZOWEJ EUGENJI.

W oryginalnych tubach z portretem i kołnierzem cesarzowej, jedyny środek do upiększania skóry. Żądać wszędzie. Cena całej tuby 1 rb. 1/3 tubki 60 kop. Hurtowa sprzedaż Al. Kupermann Dzielna 24 telef. 223-30.



Najlepsze mydła udelikatniające skórę są  
**Mydła hyg. przetłuszczone**  
wyróbu Apteki M. MALINOWSKIEGO

Nowy-Swiat 35, w Warszawie.

### NAJLEPSZA IMITACJA W ŚWIECIE

— W SZCZERO ZŁOTEJ I SREBRNEJ OPRAWIE —

Magasin Français **G. BARGOIN** Varsovie,  
RUE NOWY-ŚWIAT № 45. Telefon № 72-80.

### „Sidonie”

Właścicielka wytwornego Magazynu Mód powróciła z Paryża zaopatrzona w najwspanialsze Modele sezonowe. Warszawa, ulica Czysta № 2. Telefon 70-82.



SKŁAD KAFLI I PIECÓW  
GŁADKICH MAJOLIKOWYCH  
„HALIS”  
Warecka Nr. 14, telefon 46-62.  
Dostawa i budowa wszelkich pieców kuchennych.

### Pierwszorzędne Biuro Nauczycielskie.

### KARPINSKIEJ

POLECA: nauczycieli, nauczycielki, bony, francuzki, niemki, angielski  
Warszawa. Moniuszki 7 865

### Biuro Nauczycielskie Maryi Noworyto

b. nauczycielki  
poleca: nauczycieli, nauczycielki, bony, freblanki, cudzoziemki. — Sprawdza angielski, francuzki, niemki. Warszawa, Chmielna Nr. 30.

### F. Trojanowski FRYZJER Bielańska № 8

wjeście od Daniłowiczowskiej.  
Salony dla Pań i Panów. Wyroby z włosów. Dewiza firmy punktualność i akuratność w wykonaniu perfumeria krajowa zagraniczna.

### Dr. Władysław Ostaszewski

Choroby zębów, szczęk, i jamy ustnej. Żółwia 18, tel. 155-88.

### DENTYSTA Zofia Gutzman

Korony złote, płomy porcelanowe, zęby bez podniebienia. Szpitalna 3.

Z czystej serki gotowanej  
świeżej Rozentow  
sa najzdrowsze  
Lekarze zalecają. Żądać wszędzie  
Wystrzegać się podrabiań.

Główny skład A. SZMOLKE  
Warszawa Marszałkowska 149,  
telefon 14-72.

## KAKAO VAN HOUTENA



WYTWARZA  
SIŁĘ

PRAWDZIWE  
TYLKO  
W OPAKOWANIU  
ZAGRANICZNEM  
Z TAKĄ MARKĄ

! WYSTRZEGAĆ SIĘ!  
PODRABIAŃ



### Bieliznę!!

od najskromniejszej do najwykwintniejszej polecają

### B. Lissner & E. Holler

Warszawa, Wspólna 47, telefon 120-67.

Ceny niskie bo w prywatnym mieszkaniu.

### S. Przeździecki 5 Mazowiecka 5.

Poleca w wielkim wyborze ubrania dziecięce i uczniowskie oraz Nowowprowadzony dział sukienek i kostiumów dla panienek na każdy wiek.

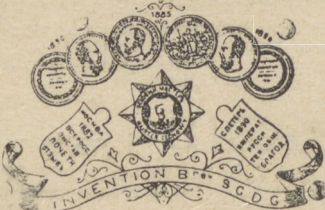
Robota wykwinna. Ceny umiarkowane

### SPECYALNA SZKOŁA KROJU

### K. Głodzińskiego

Warszawa Długa 26, telef. 59-84

oraz w Moskwie i Kijowie.



Przyjmuje na kursa codzienne. Nauka prowadzi się pod kierunkiem L. Głodzińskiego według najnowszej i najłatwiejszej metody. K. Głodziński nagrodzony medalami złotymi i srebrnymi za wzorową naukę i opracowanie najlepszych podręczników. Patenty cechowe. Cena metody sukien wyd. 25 w jęz. polsk. i wyd. 24-e w jęz. ros. 3 rb 75 kop. Linijki ułatwiające naukę rysunku form 1 rb. 95 kop., wysyła się pocztą zaliczeniem.



Najhygieniczniejsze naczynia do gotowania potraw. Czysto—niklowe Kruppa. Porcelanowe „Aluminite”. Alluminiowe szwajcarskie. Gliniane ogniotrwałe. Emaliowane granitowe

### Zabokrzecki i S-ka

Marszałkowska № 124

(dom Rossja).